

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 1 WRZEŚNIA 1928 ROKU

NR 36

TREŚĆ NUMERU: Ważny zaczątek i mocna podbudowa—*Herminja Naglerowa*. Te, które opuszczono—*J. Puttalycz-Surynowa*. Prawda istnienia—*Zofja Miszewska*. Poezje: „Pogoda“, „Kąpiel“ — *Zygmunt Łotocki*. Kochanek panny Ady (dok.) — *A. Fag*. Bzik pani D'Estrailles (c. d.)—*Maurice Renard*—przełożył *Gabryel Karcki*. Miasto z czarodziejskiego stoliczka—*Stefanja Podhorska - Okółów*. Dusza kobiety — *Gina Lombroso*. Z teatrów—*S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *Eugenja Waśniewska, S. P. O. i j. k.* Estetyka wystawy sklepowej—*Halina Wolska*. Drzewa liściaste — *Ston. Schönfeld*. Ciekawe wynalazki — *J. S.* Współczesne gotowanie (c. d.) — *Pani Elżbieta*. Napoje chłodzące—*Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“: Sprawy bielizniane—*Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy“ — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

## WAŻNY ZACZĄTEK I MOCNA PODBUDOWA

Szkoła, jak Guliwer-olbrzym, zwołała mały lud, więc zbiegło się młodociane społeczeństwo, porzucając niedokończoną zabawę swojego dzieciństwa.

Słońce, skąpe tego lata, nie zdążyło opalić, las nie doszumiał swoich tajemnic, morze zostało daleko ze swoim słonym chłodem, a wiatr burzy na piaskach wały i fortece. Bo w przenijaniu—najbardziej przemijalne są: radość i swoboda, a wątła pamięć wywołuje tylko wspomnienie, niby ów kolorowy cień obrazu, który wyświetla magiczna lampa.

Ale narazie nie jest jeszcze smutno wśród powitalnego świątku i jeszcze nie czuje się mocnej ręki powszedniego dnia. Początek roku szkolnego trzepoce się, niczem ptak, zbudzony ze snu, a zdumienie nie może sobie dać rady z przemianą, która nastąpiła: — Czy to ja tasama? Czy to ja tensam?

Wśród wesołego wakacyjnego próżnowania działy się, bowiem, sprawy skryte i niedostrzegalne. Dopiero miara i waga wykażą, że właśnie w tym czasie, kiedy dzień nie miał podziału godzin — urosło się i zmężniało, a nowa trudna lekcja sprawdzi, czy mózg, który niczem zbyt nie trudził, stał się teraz chwytniejszy. Także oczy widzą inaczej, albo widzą więcej. Niby ktoś, kto wszedł na pagórek, aby się widnokrąg większym zakreślił kręgiem.

A wraz z wami, dzieci szkolne, zmienia się świat dorosłych. Bo wasz powrót ożywił dom, ściszonny i senny w półmroku zapuszczonych rolet; ulica rozgwarzyła się waszemi głosami, sklepy przystroiły się na nowy sezon szkolny. Uprzątnięto z witryn kwieciste kretony i barwne jedwabie, aby zrobić

miejsce wełnie mundurkowej, albo alpady na fartuszki. Miast kapeluszy—czapki i berety, miast papieru listowego — kajety i piórniki. Sprzęt szkolny zalega prawie każde okno wystawowe, i trzeba przystawać co krok, aby się napatrzeć dosyta, i trzeba też tłumić pożądanie, bo chciałoby się mieć najpiękniejsze kasetki farb, ołówki, notatniki, skówki i to wszystko, co jest potrzebne i nie tak bardzo potrzebne, byle się zagospodarować odrazu.

Tak więc już pierwszy poważny dzień powakacyjny jest walką i niedosytem. Słowa perswazji nie zawsze potrafią przekonać, a długie namysły rodziców zasmucają i niepokoją. Bo przecież nigdy nie można przewidzieć, jak wypadnie to matematyczne zadanie dorosłych: czy będzie się zgadzało z życzeniem małego serduszka, czy też może trzeba będzie zadowolnić się jakimś ułamkiem, albo nawet niewiadomą, tem X, które pozostanie nigdy niespełnionem przyrzeczeniem!

Bo pomyślcie tylko o wielorakiej trosce waszych opiekunów! spójrzcie tylko na twarz ojca, który zapomniiał uśmiechu, na oczy matki, zmacone bezradnością! Nie ukryje się przed wami, dzieci pracujących rodziców, prawda tych dwóch symbolicznych końców, których powiązać nie można. I dlatego zachmurza się dzień niewesołą myślą. Ale jednocześnie krzepi się postanowienie, żeby zwalczyć wszystkie przeciwności własną energią i pracą, żeby coś tu poprawić—i rodzicom, i sobie,—jakoś „zasłużyć“ na to spełnienie życzeń. A w tem właśnie jesteście dorośli i już zupełnie ludzcy, bo dobry zamiar zagubi się przecież w długim roku szkolnym i trzeba będzie je-

szcze niejedyn raz stoczyć bój ze sobą samym, ponosić klęski, i znowu zwyciężać.

Tymczasem jednak—największą pociechą jest ta nowa książka szkolna, pachnąca czernidłem drukarskim, dobrze sprasowana na warsztacie introligatorskim. Kartki trzymają się siebie i prawie nie ma się odwagi spłaszczyć ręką tych wysklepionych wzgórków, które urastają w dwie strony, gdy się otwiera nową książkę. Ze wzruszeniem wypisuje się swoje imię i nazwisko na tytułowej karcie, aby się już napewno wiedziało, że książka jest własna i że z miłej stanie się zczasem natrętna. Już nawet obmyśla się psotną zabawę, bo zdałoby się ten czarny obrazeczek ożywić kolorową kredką. Zapewne słoń byłby bardziej pojętny na szafirowo. Łuk Tytusa mógłby być czerwony, a straszliwy Fudzijama niech bucha żółto-siarczanym dymem. Nie szkodzi także, gdy Agrypina Młodsza będzie miała wasy, a Ludwik XIV — rogi na głowie.

Ale w tej chwili piękna, nowa książka otwiera się opornie i nie chce tak łatwo poddać się czyjejs obcej jeszcze dłoni. Trzeba będzie tę książkę zdobywać dzień po dniu i poznać ją śladami pracy, lenistwa, nudy. Dziwną, niepojętą drogą przechodzić będą tajemnice książki z kart do pamięci, a ktoś uparty, nieustępliwy, sprawdzać będzie, czy stał się wreszcie ten cud, który się pospolicie nazywa przygotowaniem lekcji. Z mierzwy słów ułożą się zdania, w zdaniach wyrazi się jakaś prawda, albo jakiś karygodny fałsz. Odpowiedź ucznia rozkolebie się, jak na balansującej desce, i wtedy ten ktoś może podać rękę i przeprowadzi, a może — odepchnie, zniecierpliwiony.

Już teraz dzień w dzień, jak w klamrach, trzymać będzie dom i szkoła, nakaz i obowiązek, chęć i niechęć. Obejmie was zbyt mocnymi, choć życzliwymi ramionami powaga rodziców i nauczycieli. Więc będziecie się chytrze wymykać z pod nadzoru, skrycie buntować i szarpać, coś tam sobie swojego rojąc o swobodzie, niby o niedoścignym szczęściu. Coś tam także swojego wiecie już o niesprawiedliwości i o fortunie, która jednych wybiera, a dla innych jest panią o kamiennem sercu. Mały wasz świat niewiele bowiem różni się od świata dorosłych. Niewiele — a jednak zazdrościmy wam wszystkiego! A najbardziej tego, że jesteście przypomnieniem niepowrotnej przeszłości i że jesteście — przyszłością.

Tak na codzień, już nawet trochę bezmyślnie, mówimy, że dzieci są naszą nadzieją, ale tak jest naprawdę. Bo to, co przyjdzie i będzie się tu działo w naszej ojczyźnie — będzie z was i wasze! I to nas właśnie tak bardzo obchodzi, tego jesteśmy ciekawi. Patrząc na was, myślimy: — jaka będzie przyszłość, jaki będzie las, gdy nas nie będzie?

Więc póki my jesteśmy terazniejszością, tą płynną falą, która mija, póty odczuwamy odpowiedzialność za to, co się teraz dzieje i za to, jak się dziś formuje przyszłość. Ważność tej odpowiedzialności jest tak ogromna, ciężar jej tak wielki, że czoła nasze ściągają się w bruzdy srogości, ramiona twardnieją w uporze, serca, kochając, stają się nielitościwe! Nie chcemy popuścić, ani nic wybaczyć. Żądamy! Może za wiele, może jeszcze za mało od was żądamy — polskie dzieci...

Kiedyś, gdy się staniecie, jak my dziś, dzwignaczami odpowiedzialności za przyszłość — pojmiecie, że to, co się zdawało nieznośne, nudne, natarczywe, było najcięższą pracą budowania. Bo dla nas, żyjących w okresie odradzania się, nic nie jest łatwe, nic — przygotowane. Wszystko musimy w sobie samych przeinaczać i dobrze obmyślać nowe prawa i nowe mądrości, któreby nie miały nic wspólnego z naszym niewolnym dzieciństwem, z tą obcą szkołą, która była obrazą i zakłamaniami.

Musimy tak wiele zrobić dla was, dzieci, i dla waszej przyszłości! I dlatego biedzimy się, szukamy, zastanawiamy się, „eksperymentujemy“. Chcielibyśmy przecież, aby polska szkoła była inna, lepsza, najlepsza, a nasze dzieci, które si w niej uczą — inne, lepsze, niż my. Jakkolwiek jednak jest, szkoła tak, jak życie, domaga się pracy i, jak życie, ma cel w przyszłości. Iść naprzód, zdobywać, tworzyć! Taksamo my, jak i wy, młodzi obywatele. Trzeba tylko, aby to zrozumiała młodzież, żeby jej to dobrze i rozumnie wyjaśnić bez książki, bez srogięgo nakazu: że w z m u d n e m życiu szkolnem młodzieży jest ważny początek i mocna podbudowa przyszłości.

Wiemy dobrze, że nigdy może bardziej, jak dziś, nie było tak wielkiej odległości między dorosłymi, a dziećmi. A może tylko jakieś góry i mury stanęły między nami i trudno się nam porozumieć, niełatwo spojrzeć sobie w oczy? Sądzę jednak, że to nasza wina, albo nasza nieumiejętność, albo wreszcie nasz niezawiniony grzech niewoli. Więc jeszcze trochę naszych dobrych chęci, a pozbedziemy się tego, co było smutkiem, choć myśleliśmy, że była to uczuciowość; jeszcze trochę, a w metodach wychowawczych odrzucimy przemoc, o której mylnie sądziliśmy, że jest karnością; pozbedziemy się też w szkolnictwie pedanterji, tej właśnie, którą niesłusznie nazywamy sumiennnością...

Szkoła polska to — „wielka rzecz“! to nietylko nowe pomoce szkolne, reforma podręczników, najnowsze systemy ławek, sposoby i sposobiki nauczania — ważniejszą od tego jest nowoczesność i współczesność nauczycieli, ich światłość i wielkoduszność, ich oko, dostrzegające przyszłość. *Herminja Naglerowa.*



J. PUTIATYCZ SURYNOWA

## TE, KTÓRE OPUSZCZONO...

Na mocy uchwały traktatu Entente Franco-Polonaise, „opuszczonym“ matkom polskim we Francji przysługują te same prawa, co francuskim „abandonnées“.

„Service Social“ gorliwie współpracuje z „Sekcją macierzyńską“ Opieki Polskiej w Paryżu. Co dni dziesięć sporządzane są listy położnic, przechodzących przez szpitale. „Opieka Polska“ zostaje zawiadomiona, ile między nimi znajduje się polek (zwykle dużo, do stu miesięcznie). Współpraca z Service Social pod każdym względem jest pożądana, nie tylko, jako środek informacyjny, lecz jako wydajna pomoc finansowa, jako opieka nad matką i dzieckiem i jako uproszczenie maszyny biurokratycznej (brak współpracy z Francuską Opieką zaabsorbowałyby minimum trzech urzędników więcej). — Dawniej, mimo najszczerzych chęci i usiłowań, nie wiedzano o wielu matkach i o wielu dzieciach. Obecnie nastąpiła centralizacja pracy w „Opiece“, która dużo kobiet zawraca ze złej drogi, która wielu małeństw zachowuje macierzyńską opiekę i... życie.

O tej owocnej działalności informuje mnie młoda panienka.

Lśnią zapałem śliczne, czarne oczy, a pani Gniewińska (zarządzająca „Opieką Polską“ w Paryżu) z ogromnem uznaniem wyraża się o ideowej pracy tego młodego stworzenia.

Wyobraźmy sobie sto lat temu taką młodą panienkę, której powiedziano, że: „Magda z czworaków urodziła nieślubne dziecko, że była u niej „babka ze wsi...“

Zawstydziliby się panienka i... różą splonęła...

Wyobraźmy sobie...

Ależ co znowu! — nie można sobie nawet tego wyobrazić...

Sto lat temu panienka nie słyszała o Magdzie, ani o akuszerce („Horreur!“). Wtedy bociany spełniały odpowiedzialną funkcję i strzegły czystych myśli dziewczycych.

A teraz?

Teraz niema już śmiesznej pruderji. Panienka opowiada mi o Magdach, a głównie o ich małeństwach, biednych, opuszczonych, na obcej ziemi, bez ojców.

Niema już śmiesznej pruderji, — wzamian jest czułe, kochające serce dziewczęce, rozkwitające, jak kwiat, w atmosferze miłosierdzia.

\* \* \*

Więc pytam:

— Jaka to kategoria kobiet, te „opuszczone“?

— Głównie wyrobnice kontraktowe, służące, lub robotnice, pracujące „na fermach“.

— Czy one same zwracają się do „Opieki“ w chwili krytycznej z prośbą o pomoc?

— Te, które pracę znajdowały za naszym pośrednictwem, z całym zaufaniem same zwracają się o pomoc. Te, które o egzystencji naszej instytucji nie słyszały, dostają się na listy wykazów statystycznych szpitali, które nas informują.

Czasem... dostajemy spóźnione listy, pisane nieudolnie, w których ortografia, kaligrafja i sposób wyrażania splatają się w jedną, wielką niewiadomą (w dodatku bez podania adresu). Jakie to przykre, gdy się wie, że ktoś wzywa naszej pomocy, a na ślad „opuszczonej“, mimo usilnych poszukiwań, natrafić nie można!

Raz dostaliśmy „pneumatique“\*), pisany po rusińsku. Pobiegłam do szpitala „w te pędy“. Niestety! już „ją“ wypisano, adresu nie zostawiła, ślad zaginęła! — Smutne...

Po chwili pytam dalej:

— Więc gdy taka kobieta zwróci się do „Opieki“?..

— Jeżeli jest w siódmym miesiącu, ma prawo korzystać, jak każda francuzka, z pomocy finansowej Rządu francuskiego. Odradzamy jednak, gdyż zwrot tej pożyczki zbyt późno obarcza jej budżet. Natomiast z chwilą, gdy ciąża staje się zbyt widoczną i żenującą, skierujemy ją do „Asylum“, przy Rue Tolbiac, gdzie wszystkie „opuszczone“ czekają w spokoju przyjścia na świat dziecka.

— W „Asylum“ mają one jakąś pracę?

— Właśnie, że nie. Po większej części nudzą się. Tu my zaczynamy pracować, i wpływ nasz w „Asylum“ bywa często decydujący na resztę życia dziecka i matki. Przynosząc im starą bieliznę (do szycia wyprawki dla dziecka) i gazety, staramy się je nakłonić, by małeństw nie porzuciły, by zechciały je karmić przynajmniej miesiąc, gdyż w przeciwnym razie umrze. Tam to często, w tem „Asylum“, zyskujemy zaufanie i przywiązanie do „Opieki“, wykwitłe na gruncie przekonania, że ktoś o jej dziecku myśli.

Potem dziesięciodniowa bytność w szpitalu. Kobiety, które tu dopiero poznajemy, garną się do nas najczęściej, jako do tłumaczek, bo niebardzo mogą się „dogadać“. Dostają gazety, adres „Opieki“, obietnicę pracy i małą zapomogę pieniężną.

Ze szpitala kobiety przewożone są wraz z dziećmi do „Fontaine aux Roses“ lub „Vesinet“ (dwa największe domy, przeznaczone na okres rekonwalescen-

\*) „Pneumatique“ — poczta pneumatyczna, j. t. korespondencja w obrębie Paryża, rozwieszona bezpośrednio po nadaniu, bardzo szybka i specjalnie opłacana.

cji). Kobieta może tu spędzić okres sześciomiesięczny, karmiąc swe dziecko. Lecz... dobrze jest, jeżeli chce spędzić tu dwa tygodnie (Termin miesięczny wprowadza nas w zachwyt). Tu najwięcej uwidoczni się wpływ perswazyj, przeprowadzanych w „Asilum“.

— Czem one tłumaczą tę gwałtowną chęć jaknajprędzszego opuszczenia domu rekonwalescencji?

— Stale słyszymy: „My jesteśmy na to we Francji, by pracować. Każdy dzień bez pracy — to dzień bez płacy“. Chęć zarobku jest głównym, choć nie jedynym, powodem rozstania z dzieckiem. Opuszczone za wcześnie maleństwo najczęściej, jak wspomniałam, umiera.

— A jeżeli matka dalej chce się dzieckiem opiekować?

— Wtedy dostaje dla dziecka wyprawkę, małą zapomogę miesięczną, oraz list do Service Social. Opieka francuska skierowuje ją do „nourrice“ \*) — (nieдалeko Paryża, jedynie w Departamencie Seine). W przeciągu 18 miesięcy dopomaga matce w utrzymaniu dziecka, płacąc 40 fr. miesięcznej zapomogi. (Rząd Polski pieniądze zwraca). Ścisłych informacji, co do tej procedury, udzielić nie mogę, gdyż są to

sprawy, objęte traktatem i zostające zupełnie poza obrębem działalności „Opieki“.

— Czy matki zachowują kontakt z „Opieką“?

— Przedewszystkiem zgłaszają się po pracę. Poza to za pośrednictwem „Opieki“ matka pisuje listy do „nourrice“ i przesyła dziecku paczki z ubraniami i bielizną. Nourrice'ka dwa razy na miesiąc wiedziona jest przez doktora, który bada stan jej zdrowia i stan zdrowia dziecka. Są dwie miejscowości we Francji, gdzie „nourrices“ są najtańsze (Orne et Sarthe), znane ze złego obchodzenia się z dziećmi (i zwierzętami). Wogóle krytyczne są pierwsze miesiące dla dziecka, gdyż „nourrice“, mając 140 fr., musi płacić początkowo wizyty lekarskie itp. wydatki — i pozostała jej suma jest tak minimalną, że odbija się to w pierwszym rzędzie na utrzymaniu dziecka. To właśnie było powodem, że w marcu zanotowano aż cztery wypadki śmierci.

— Ile bąków miesięcznie oddaje „Opieka“ nourrice'kom?

— Koło trzydziestu. W tem epidemja bliźniąt (do trzech, czterech par miesięcznie).

\*) „nourrice“ — karmicielka.

(dok. n.)



ZOFJA MISZEWSKA

## PRAWDA ISTNIENIA

(Apoteoza Macierzyństwa)

Romantyzm się przeżył. Prawdę tę głosi się hucznie i zwycięsko w setną rocznicę jego narodzin, jak gdyby jego zaguba miała się stać życiem nowego kierunku w literaturze, który przewyższyłby poprzedni o tysiące wartości. Czy tak się właśnie stało, nie będziemy rozstrzygać w tej chwili; co innego natomiast rzuca się w oczy: romantyzm nie ustąpił bez walki i... bez śladu.

Nic dziwnego. Ugruntował go w duszach ludzkich cały wiek bogatych intelektualnych przeżyć, a nigdzie nie jest tak trudno o rewolucję, jak w dziejach myśli; najwyżej nowe warstwy, narastając, spychają w dół poprzednie drogą ewolucji.

Obecna epoka literacka jest jeszcze, pomimo wszystko, epoką przejściową: skończyliśmy z dniem wczorajszym, ale jeszcze nie o tyle, aby reminiscencje z dawnych, w pokolenie wrosłych, idei nie przewijały się pomiędzy stronicami utworów najbardziej uwspółcześnionych pisarzy. Z tego powodu często wytwarza się konglomerat biegunowo (pozornie) przeciwnych

pierwiastków, które, świadomie czy nieświadomie, ścierają się ze sobą.

Takim właśnie utworem, w którym krzyżuje się jaknajbardziej szeroko pojęta współczesność z czystej wody romantyzmem, jest „Mgła“ Miguela de Unamuno\*).

Powieść ta idzie dwiema różnymi drogami: jedna — to droga przeżyć głównego bohatera, Augusta Perez, współczesnego Hamleta, który dawne zagadnienie „być albo nie być“ zastępuje pesymistycznym twierdzeniem współczesnej filozofji, że: „wszystko jest względne“; druga — droga myśli samego autora, który, przeciwstawiając się stworzonej przez siebie postaci, ironją swoją obala nasz, „a priori“ zmuśniony wypracowany, stosunek do bohatera.

Zetknięcie tych dwóch dróg na płaszczyźnie powieści, z istic współczesną swobodą tworzenia, staje

\*) Miguel de Unamuno: „Mgła“. Z upoważnienia autora przełożył z hiszpańskiego dr. Edward Boyé. Tow. Wydawnicze „Rój“. Warszawa. 1928 rok.

się źródłem pomieszania różnych pierwiastków, które wkońcu łączą się w harmonję pozornie jaknajbardziej współczesnej, choć już przez Platona stwierdzonej idei, że prawdziwość bytu można zadokumentować tylko przez stworzenie nowego życia. Rozwiązanie tego zagadnienia zamyka autor w dziejach miłości Augusta, który przez kobietę chce zdobyć prawdę swego istnienia. Celem jego jest zapewnienie sobie zupełnej samodzielności czynu, a więc poślubienie Eugenji i, podświadome zresztą jeszcze, marzenie o ojcostwie. Eugenia jednak w przeddzień ślubu ucieka z kochankiem, August zaś jedzie do de Unamuna, aby... powiadomić go o swem zamierzonym samobójstwie, co również ma udowodnić prawdziwość jego istnienia. Jednak de Unamuno rozwiewa jego złudzenia, mówiąc: „nie możesz się zabić, ponieważ nie istniejesz“.

— Ja nie istnieję?

— Istniejesz tylko, jako osoba fikcyjna; jesteś wyrazem mojej imaginacji i imaginacji czytelników, którzy czytają o twych przejściach i przygodach, spisanych przezemnie. Jesteś tylko bohaterem noweli, czy też niwoli. Teraz poznałeś już zagadkę swego istnienia.

Rozmowa ta jest pierwszym punktem stycznym pomiędzy drogą bohatera powieści i jej autora. Wyjaśnia nam ona wiele niezrozumiałych cech psychiki Augusta, który jakgdyby sam stwarzał sytuacje, mówiąc, iż „tak właśnie, a nie inaczej uczynić teraz trzeba“. Z tej niesamodzielności czynu i nierzeczywistości własnego bytu wynikają wszystkie powikłania życiowe Augusta. Umiera on wreszcie, nie osiągnąwszy swego marzenia o miłości; umiera, pozbawiony nawet świadomości, że istniał: jego pragnienie ojcostwa nie ziściło się.

„Istnieje się w pojęciu innych i dla innych“, mówi de Unamuno i mówi to już bez ironji. Symbol został odrzucony; widzimy teraz oblicze filozofa.

Z tego właśnie punktu widzenia, który prawdę ludzkiego bytu mierzy możliwością tworzenia nowego życia, patrzy autor na kobiety.

W obecnie omawianym utworze de Unamuno kobiety odgrywają, oczywiście, rolę ważną i decydującą. W pierwszej chwili jednak zdawaćby się mogło, że autor hiszpański kobietami gardzi, lub je conajmniej lekceważy: wszystkie typy niewieście, które widzimy w powieści, są albo bardzo przeciętne, pozbawione wybitniejszej indywidualności, albo śmieszne, albo ujemne, jak Eugenia. Ciekawa jest charakterystyka kobiet, jaką głosi „mistrz“ Paparriquopoulus, przyjaciel Augusta: „gdy mężczyzna ma swoją własną duszę, to kobiety mają jedną duszę zbiorową, coś, jak czynna inteligencja Averhoes'a, która obdziela swemi częściami miliony kobiet“. Kobiety uszlachetnia dopiero i podnosi do najwyższej godności macierzyństwo, współdziałając w utrwalaniu gatunku, który jest jedynym dowodem istnienia rzeczywistego człowieka.

De Unamuno w tok swego ironicznego opowiadania nie wprowadza ani razu kobiety-matki: za wysoko ją stawia, aby dawać jej współdziałanie w grotesce. Ani Liduvina, ani Donia Ermelinda, ani nawet Rosario nie są podniesione do godności macierzyństwa. Natomiast za kulisami (opisywanej przez de Unamuna historii) pojawia się postać kobiety-matki, o której autor zawsze mówi z najwyższym szacunkiem i powagą. Znamy ją jednak tylko ze słyszenia. Najpiękniejszym bodaj typem matki jest Donia Soladed, zmarła matka Augusta, której odbicia szuka on napróżno w zimnej i wyrachowanej Eugenji. Następnie słyszymy o żonie Don Avida: jest to postać nawskroś tragiczna, współczesna Niobe, przelewająca po śmierci syna cały bezmiar swej macierzyńskiej miłości na osieroconego i obozwładnionego bólem męża. Takimi są wreszcie: żona Don Antonia i żona Wiktora. W tych dwóch ostatnich postaciach niewieście pokazał nam autor proces przeradzania się kobiety i proces harmonizowania się człowieka z życiem pod wpływem miłości do dziecka.

Danie życia nowemu człowiekowi jest zarówno dla kobiety, jak i dla mężczyzny, wygładzaniem wszelkich fałd na powierzchni istnienia i jest tego istnienia bezwzględna afirmacja. Kobieta, bezpośrednia dawczyni życia, jest wyrazem tej najszczytniejszej misji człowieka, a więc w jej ręku leży radość i cierpienie mężczyzny, bo przez nią może jedynie uwierzyć w swą rzeczywistość.

August, ironiczny bohater de Unamuna, prawdy tej nie osiągnął i dlatego trwał między niebem, a ziemią, we mgle niepewności.

Tak oto rozprawił się de Unamuno z resztkami romantyzmu, jakie tkwiły w jego duszy: pobił się swoją własną ironją.

Nie zrezygnował jednak zupełnie: dwie drogi, jakimi szła powieść de Unamuna, zharmonizowały się w gloryfikacji najpiękniejszego uczucia, na jakie ludzkość mogła się zdobyć: uczucia miłości macierzyńskiej, które obok najczystszej idealizmu zawiera głęboko pojęty realizm życia.

Powieść de Unamuna, aczkolwiek pisana przez mężczyznę, bardzo głęboko i trafnie ujmując najżywniejsze zagadnienie życia kobiecego, nadając mu znaczenie ogólnoludzkiej filozofji. Dr. Boyé dokonał przekładu tego utworu jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnej Hiszpanji z wielką umiejętnością i pietyzmem, tak iż czytelnik nie traci żadnej z właściwości oryginalnego i bogatego języka de Unamuna. W stylu jego uderza przede wszystkim siła ekspresji i wypukłość obrazów przy wielkiej prostocie wystąpienia. Wobec panoszącej się obecnie w literaturze perwersji formy i męczącego niekiedy gromadzenia efektów słownych, prostotę tę można uważać tylko za jedną z dodatnich cech twórczości de Unamuna,

ZYGMUNT ŁOTOCKI

## POGODA

*To słońce na niebios stropie usiadło, jak złoty szerszeń,  
Gorącym żądłem nakłuwa ziemię, dojrzałą do żniwa.  
Wiatr młodym brzozom na liściach szelestne układa wiersze  
I cichym, natchnionym szeptem spowiada je starym iwom.*

*Ta rzeka w błękitnym nurcie kołysze niebios pogodę,  
Srebrzystym kręgiem otacza nasze złączone odbicia.  
Już nie wiem, co w mojej duszy jest bardziej jasne i młode:  
Czy terażniejszość, czy przyszłe, uśmiechające się życie.*

## KAPIEL

*Biegniemy z radosnym krzykiem nad rzekę, błękitną w słońcu.  
Jesteśmy nadzy, bronzowi — dyszymy letniem gorącym.*

*Rzucamy się w chłodne nurty z dreszczem nagłego zachwytu.  
Dajemy nurka aż do dna, by mokrą garść piasku schwycić.*

*Od dna do góry, jak piłki, w prężnym płynie podskoku,  
Pryskamy wodą w twarz słońcu i uśmiechniętym obłokom.*

*Woda nas huśta w objęciach, dotyka srebrzystym chłodem.  
Płyniemy na drugą stronę — do trzciny, szumiących nad wodą.*

*Z chrzęstem i pluskiem przez trzciny — na brzeg z tupotem po łące,  
Wytarzać się w bujnej trawie i znów nasycić się słońcem.*



A F A G

## KOCHANEK PANNY ADY

### III

Jul był uszczęśliwiony: o 3-ej nad ranem jedzie z całym towarzystwem na połów flonder. Już przygotował swój rybacki płaszcz, kaptur, buty. Pobiegł jeszcze gdzieś ubić ostatecznie najprzeróżniejsze, związane z tem, towarzyskie sprawy.

Chłopcy już spali. Panna Ada przy stole siedziała nachylona nad zamkniętą książką. Ważyła coś.

— Pojadę z nim — uśmiechnęła się nareszcie: — powiedz pan, słusznie to czynię?

— Co takiego? — spytałem, teraz naprawdę zdziwiony.

— Z Julem, — wyjaśniła skwapliwie — z panem Julkiem. Dziś, na połów ryb, o 3-ej. Biedaczek! tak chciał, tak pragnął, a nie miał odwagi mnie prosić. Zresztą, to zbyt. Sama wyczułam — przerwała; potem, wpatrzona we mnie, interpelowała wesoło: — To pan nie wiedział, że to o nim, o nim panu wszystko mówiłam?... Taki niespostrzegawczy...

Byłem całkowicie zdetonowany. Wyratował mnie z opresji Jul; właśnie wracał. Opalony, zdrów i wesół, rozemocjonowany niedaleką przygodą.

Czekałem. Powziąłem żelazne postanowienie powstrzymać się w tym wypadku od wszelkiej interwencji.

— Więc o której trzeba wstać?... — ukłuli nas panna Ada zupełnie niespodziewanie swem pytaniem.

Postanowiłem być poza nawiasem wszelkiej akcji:

— Ja nie jadę, — oświadczyłem kategorycznie, — wolę spać!

Ale Jul!.. Jul zbladł; twarz jego zastygła w wyrazie krańcowego osłupienia:

— Gdzie wstać?! Poco wstać?! — pytał skwapliwie, aczkolwiek już wiedział, o co chodzi.

Wyjaśniała łagodnie: — Dziś w nocy, o której trzeba wstać, żeby zdążyć na połów ryb? Bo przecież jadę z panem...

Tyle w niej było wyrozumiałości... Bo wszak wiedziała: brak mu tylko odwagi, a w rzeczywistości tak pragnie, tak chce!..

— O wpół do trzeciej, — odpowiedział wreszcie, steryzowany.

— To dobrze, będę gotowa. Idę już spać, żeby się potem nie spóźnić. Wstąpi pan po mnie, prawda, panie Julu? — uśmiechnęła się ośmielająco.

Połknęły ją drzwi. Zostaliśmy we dwojkę: Jul i ja.

Zgasilem światło, postanowiłem spać! Żadnych wyjaśnień, żadnych rozmów! Wszystko rozgrywało się tu na odcinku tego wąskiego kroku pomiędzy tragizmem, a śmiesznością. Nie chciałem tłumaczyć, że kroczy się tu po ziemi, nasiąkniętej krwią i bólem.

Obok na kanapie Jul jęczał rozpaczliwie:

— O Boże! za coś mnie skarał?! Tak dobrze się zapowiadało, a teraz wszystko wzięło w łeb. I Ziuta pojedzie z nami! Chciałem rozwinąć generalną ofensywę, wszystkie rekwizyty były na miejscu: morze, łódź, rybacy, wschód słońca. I przez tą małą obrzydliwą wszystko, wszystko stracone! Przyczepi się do mnie, będzie nudzić, zawracać głowę, będzie robiła oko, ośmieszy, ośmieszy mnie ostatecznie!.. Pomóż!

Ale, maskując się snem, jakoś szczęśliwie unikałem dyskusji.

### IV

Krzętaninę ich wyjazdu słyszałem śród nocy, przez sen. Gdym wstał nad ranem, jeszcze ich nie było. Wrócili około 8-ej, zmęczeni i zziębnięci. On: markotny i ospały; ona: ruchliwa i radosna. Ściągnęli z siebie morski, ceratowy ekwipunek, umyli się; siedzieliśmy wreszcie wszyscy przy śniadaniu.

— No, jakżeż, — zapytałem, — jak tam było? Udało się polowanie?

Jul odpowiadał monosylabami: — Tak, udało się... były ryby, fale i deszcz...

Ona rozwodziła się szeroko: opowiadała o morzu, o łodzi, o fajkach rybackich. Jej brzydkie wargi hodowały słowa, pełne piękna i wzruszenia. Słuchałem z uwagą. Miała zaczerwienione, błyszczące oczy, tuliła się w chustkę, łapczywie popijała kawę.

— Panno Ado! — zapytałem nareszcie — pani źle się czuje, pani jest chora?..

Chciała zaprzeczyć energicznym ruchem głowy, ale i to przeszłoby bez wrażenia. Szczękała z zimna zębami i każdy musiał się domyślić, że trzęsie ją gwałtowna febra.

— Panno Ado! — oświadczyłem kategorycznie, — pani jest chora, co się stało?

Tonąc oczyma w kącie, wyjaśniała:

— Zaziębiłam się, drobnostka. Mam wrażliwe płuca. O poranku na morzu i w dodatku trochę wilgoci... Drobnostka zresztą! szklanka herbaty z sokiem, a wszystko przejdzie.

Wiedziałem jednak, że tak nie jest. Na policzkach jej ukazały się jaskrawe wypieki, szczękała zębami z zimna; coraz dokładniej występowała na jej twarzy bolesna bezradność chorego człowieka.

Jul, który wogóle raz jeden w życiu chorował (było to po nieudanym skoku o tyczce: wykręcił sobie wówczas lewą nogę), patrzył na wszystko zaskoczony.

Orzekłem kategorycznie: — Łóżko!

Usiłowała udawać opór, ale wszystko w niej raczej stwierdzało, że wypowiedziałem to, czego sama pragnęła. Jula wyekspedjowałem po doktora. Usiadłem później przy chorej; nakryła się w łóżku wszystkim, co było pod ręką, trzęsła się wciąż z zimna i z gorączki.

Usiłowała mówić: — Ma słabe płuca, nie wolno jej płynąć o świcie, rybacką łodzią, na morze... Ale on, on tak prosił, tak prosił... Milczeniem prosił, nie mogła przecież odmówić! I dlatego...!

Nakazałem jej milczenie. Nadszedł doktor, sprowadzony przez Jula. Pukał, stukał... W sąsiednim pokoju poinformował nas o faktycznym stanie rzeczy: zaziębienie i to groźne zaziębienie! Może grypa, może zapalenie oskrzeli, a może płuc... Była pewno gdzieś długo wśród wilgoci, a ma gruźlicze skłonności...

— Trzeba łóżko przenieść do większego pokoju — konkludował. — Zapowiada się długie leżenie. Ciepło, spokój, mierzyć temperaturę. Herbata z suszonymi malinami! Jeszcze raz: ciepło! I do jutra.

Porozumieliśmy się teraz bez słów: przesunęliśmy jej łóżko do naszego pokoju, zainstalowaliśmy się sami w dotychczasowym pokoju panny Ady. Dochodziła 12-ta; złoty jedwab promieni słonecznych owinał się dookoła ziemi, ale jednak w pokojach panował półcień; wszystko przesiąkło zapachem lekarstw, wszystko mówiło o obecności chorego człowieka.

Jul, zaskoczony wypadkami, włożył się ospale wzdłuż ścian. Myślałem: — Powiedzieć mu coś, czy milczeć? — Gdy nagle krzyknął:

— Patrzaj, patrzaj, co znalazłem! — Przynął się do mnie na palcach, w rękę trzymał gruby zeszyt, opatrzone literą „A”. Na tej stronie, uwydatniony falistą linią podkreślenia, błyszczał napis: „Pamiętnik”.

Uznałem za właściwe uśmiechnąć się pobłaźliwie: — Oczywiście, to było do niej podobne! „Pamiętnik”! A w nim pewno pełno pensjonarskich refleksyj.

— Trzeba położyć na miejsce — oświadczył Jul, który zawsze był i chciał być dżentelmenem.

Już miałem to zaaprobować, kiedy nagle zastąpiłem mu drogę:

— Poczekaj! — zatrzymałem go — chcę tu czegoś poszukać.

Innym razem, być może, stanąłby w obronie męskiego obowiązku nienaruszania kobiecej tajemnicy. Teraz jednak, wytracony wogóle z równowagi, nie oponował. Wziąłem kajet do ręki, przerzucałem kartki, szukałem...

V

Kiedym nareszcie wpadł na właściwy trop, za dysponowałem:

— Jul, chodź tu, czytaj!

Wspólnie schyliliśmy się nad zapisanymi gęsto stronicami. Pod różnymi datami panna Ada pisała:

\* \* \*

„...Milczałam. Nie chciałam wierzyć własnym oczom. Sądziłam: to złudzenie. Bo i skądżeż?! Lustro ostrzegało mnie: nie daj się zwieść! Jeszcze dziś brak mi odwagi pisać o wszystkim, co przeczuwałam. Nie chcę wymówić tych słów, dopóki nie nabiorą one cech prawdy niewątpliwej...”

\* \* \*

Znów minął dzień i znów pogłębiła się moja wiara. Chce mnie widzieć, chce ze mną mówić, chce być koło mnie... Jest zmieszany, gdy zostajemy sami.

Pilnuję siebie w obawie sugestji... Ale nie, to niemożliwe! Jego postępowanie wyklucza pomyłkę... Nawet dla obcych wszystko staje się oczywistością...

\* \* \*

Dziś w parku... Nie śmiał mówić. Daremnie chciałam mu ułatwić sytuację... Milczał.

Kobiety się za nim oglądają...

\* \* \*

Wspólna kolacja. Wobec innych kobiet jest taki zaborczy, śmiały. Wobec mnie — zamienia się w małego sztubaka. Drogil! Boję się wprost zazdrości losu. Tyle szczęścia!

\* \* \*

Tyle szczęścia! odrzucił inne, przyszedł do mnie, nie wiem nawet zaco, dlaczego?...

Poraz pierwszy w życiu spostrzegłam, że liście są zielone.

\* \* \*

Tej nocy! Jeszcze drzeł Śpiąc, odczułam, że drzwi się otwierają. Miałam zamknięte powieki. Wiedziałam, że stoi nademną. Schylił się potem... Na wargach poczułam coś kochanego!

Błogosławię życie!

\* \* \*

Jul — pierwszy mężczyzna, który mnie całował. Dobry!

Od tyłu dni oczekiwałam go u siebie. Przed snem nie przekręcałam klucza... Wczoraj przyszedł, dotknął mnie ustami...

Ale dziś!...

\* \* \*

Jul drogil!... Jedyny!”

VI

Skoczył mi do gardła. Nigdy dotąd nie był tak blady, jak w tej chwili.

— Co ona pisze? — zgrzytał mi nad uchem — oszalała! To szalona, powiadam ci, to szalona! to zwarzowana kobieta! Uciekałem przed nią, a tu...



Położyłem palec na ustach: — Cicho — ostrzegalem — tam chora. Przez ciebie, dla ciebie.—I dodałem: — Uszanuj to! To największy ból... uwierzyła tęsknocie, pomyliła marzenie i rzeczywistość...

— Jul! — usłyszeliśmy głos. Panna Ada wołała z sąsiedniego pokoju.

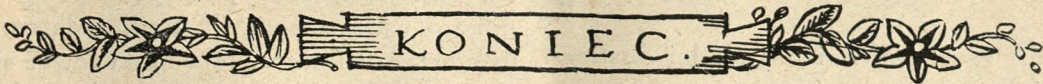
Spojrzał na mnie osłupiałym wzrokiem. Odwrócił się w milczeniu. Poszedł na palcach, zniknął za progiem. Wiedziałem: — Szeptem mu teraz najlepsze, naj-

piękniejsze, najcichsze słowa; ale za chwilę pokąsa ją straszliwa prawda i wówczas wszystko runie w gruzy.

Oczekiwałem okrzyku, ale chwile, które przebiegły, przesiąknięte były milczeniem.

Zajrzałem przez szparę w półotwartych drzwiach. Skrót jego zgiętej i skulonej postaci zasłaniał niewidzialną głowę.

Pojałem, że klęczy i całuje ręce...



MAURICE RENARD

2)

## BZIK PANI D'ESTRAILLES

przełożył *Gabryel KarSKI*

Nie była już tu księżną, ani marszałkową, lecz tylko jednym z niezliczonych kształtów Pożądania w owej upojonej godzinie. Pod jego przemożnym władaniem — świadczyła mu najdrobniejszym poruszeniem; onoc wzdymało emocją tę pierś nadobną; jegoż obrazem były te usta rozchylone i te napół zawarte oczy; jego gorący apel niosły te westchnienia.

Nagle nastawiłam uszu, a pani d'Estrailles zaparła dech w sobie. Gdzieś w oddali słyhać było fujarkę; brzmiała jakaś piosnka wieśniacza... To było prześliczne i przyjemności naszej ostatecznie dopełniło. Gędźba owa świetnie kojarzyła się z Naturą. Imaginuj wilgę - wirtuoza, przedstaw sobie genialnie śpiewny strumyk, wyobraź sobie wietrzyk, mogący rywalizować z panem Lulli,

Pani d'Estrailles skwapliwie jeła się tej okazji, aby pomieszkać nieco z naszym powrotem.

— Chodź—rzuć do mnie—pójdźmy do tego grajka! milsze nam będą jego czarki mleka i chleb razowy, aniżeli La Rive z jego galaretkami i konfekty.

— Czyżbyś naprawdę chciała?... A jeżeli to rozbójnik?

Ona potrząsnęła głową stanowczo:

— Kto tak gra, nie może być złym człekiem!

Namyślałam się. Ale takowa ufność i mnie również udzieliła się i ostatecznie demon eskapady zwyciężył.

Ruszyliśmy drożyną mocno zarośniętą, która, zdało się nam, wiodła w pożądanym kierunku. Dźwięki fletni jeszcze przez czas niejaki były nam wskazaniem, poczem już jeno bór sam głosił się swą tajemniczą kapelą, której najgrzeczniejszy muzykant zamilkł był. Nagle podjął swą gędźbę nanowo, pra-

wie w chwili, gdy wahałyśmy się, czy we właściwej mierzymy dyrekcji. Była to jedna tylko fraza, a leciuchna, jakoby żoły prześmiejch niefrasobliwy.

Niebawem natknęłyśmy na mur stary, omszały i popsowany niemało i, dążąc dalej ścieżką wzdłuż niego, dotarłyśmy do bramy niewielkiego pałacyka.

Dla pojazdów wiodła tam aleja, przecinająca gazon, Krata, wielce misternej snycerskiej roboty, zarośnięta była bluszczem i krzewami kaliny; jedno tylko skrzydło było odwarłe, śnać od bardzo już dawna, bowiem one porosty, łączące ją z filarkiem, tworzyły z obojga jednolitą masę zieleni. Na szczycie frontonu widniał talar, na wdzięcznym wsparty ornamencie, oraz markgrafska korona. Prostota onego znaku znamionowała jego szlachetność.

W głębi pięknego dziedzińca z basenem, pełnym zielonej wody, widniała, ocieniona wyniosłymi drzewy i w szkarłatne przyodziana winogrody, arcynadobna rezydencja.

Weszliśmy w ten dziedziniec — nie bez niejakiemu respektu, zgoła jakobyśmy oto wtargnęły w stulecie pradziadów. Na naszą aparycję gromada królików pierzchnęła płochliwie, a czatujący na nie pan lis wyskoczył przez wyłom w murze. Przecię, pałaców nie był opuszczony. Łacno to było odgadnąć po niejednym drobnuchnym signum. Nawskroś oszkolonych drzwi, poza pełnym świetlistości wnętrzem, ogłądałeś jakoby olbrzymi park leśny, w którym klombami były polany, gaikami zasię—sam las.

Jedne drzwi w pałacu były niezawarte, takż i okno sąsiednie. Dobywały się zowąd głosy niejaki. Pani d'Estrailles pociągnęła mię z sobą. Czulaam

jej krzepką dłoń w swojej, kurczowo zaciśniętej. Milczała, uśmiechnięta.

Dotarliśmy ku oknu, nie zdradziwszy się niczem; teraz, podawszy się poprzód, dojrzałyśmy, kto miał nam udzielić gościny.

Obrócony był ku nam plecyma i uśmiechał się własnemu konterfektowi w zwierciadle. Ogromna, kędzierzawa peruka, jakie niegdyś noszono, szlafrok pstrokaty, także staromodny, oto co zrazu ujrzałam pospołu z roześmianem obliczem, nieco przyćmionem w zwierciadle.

Dzięki temuż zwierciadłu i nas z kolei dostrzeżono. Człek obrócił się ze zdumiewającą szybkością.

Mirza, dzierzona pod pachą, jęła eksponować swą awersję warczeniem i szczeniem zajadłem. Pan ów znalazł się całę grzecznie, dając pozór jakoby nie zauważał tego.

Wyznać ci muszę, iż niespokojność moja bynajmniej nie ustępowała. W momencie onym przeraziłam się naszej śmiałości i myślałam cofnąć się.

Ale kasztelan zbliżał się ku nam drobnymi, sprężystymi krokami, wyrażając jako mógł najskładniej przyjemne zdumienie. Był to człek średniego wzrostu i wieku nieokreślonego. Jego suknia rąbkami dotykała ziemi, wspierał się na lasce z kościaną gałką, pod rozłożystą zaś peruką widniało oblicze najosobliwsze, jakie zdarzyło mi się oglądać.

Gdybym pokusiła się opisać ci je cząstka po cząstce, nicby ci z takowej deskrypcji nie przyszło. Acz wiedziałabyś o oczach jego, że były swywolne, a pochutliwe; o nosie — że znamionował porównie sensualitas, jak i dobre urodzenie; o uściech — że się je zgadywało łakomemi, a widziało — dumnymi; o skórze — że była, jako patyna najprzedniejszego spiżu — jeszcze nie nabrałabyś pojęcia, jak zdumiewająca była to persona. Jego urodziwa postać i staromodność ubioru, zuchwałość dziwaczna, wspaniała i groźna, a oraz zachwycenie, jakie nam okazał, gracji a zarazem pożądlivosti pełne — wszystko to składało się na niebywałą całość, której niewiada było, czy lękać się, czyli pochlebnego dla się szukać w niej wyrazu.

Ja postąpiłam raczej pierwszą drogą, pani d'Estrailles — wtórą. I mniemać się godzi, że myśli nasze były widoczne, bowiem spojrzenia kasztelana z większą presją atakowały moją towarzyszkę, niżeli mnie.

— O! nadobne panie! ozwał się głosem świegotliwym. — Niech będą pochwaleni bogowie, iż was aż tutaj przywiedli! Raczcie-ż wnijść. Wasz niewolnik ściele się wam „do stóp. Wszystko, co tu waćpanie oglądacie, do was należy bardziej, aniżeli do mnie.

Giest jego, którym posiadłość swą pokazywał, zdawał się ogarniać świat cały. Nie mogę już dokład-

nie odnaleźć w pamięci terminów, jakimi się posługiwał, a które były osobliwe, jakoby z przestarzałego wzięte języka. Wszelako tyle wlał był dostojności w swe przywitanie, że uczyniliśmy dyg — i omal nie powtórzyliśmy go trzykroć.

On wtedy ucałował nam ręce. Pod dotknięciem jego łakomej wargi usunęłam swą dłoń raptownie.

Oczekiwałyśmy, by się przedstawił, kto jest zacz. Wszakże nie nastąpiło to ani w owym momencie, ani też przez cały czas, jaki spędziłyśmy w jego kompanji. Co widząc, pani d'Estrailles, daremnie sobakę swą uśmierzyć usiłująca, jęła ekskuzować się w onej okkurencji i opowiedziała, jakim to hazardom dzięki przywędrowałyśmy oto, gdzie nas widziano. Przyczem nie zataiła, iż byłyśmy zgłodniałe.

Na to ów człek rzekł nam swym gardłowym głosem:

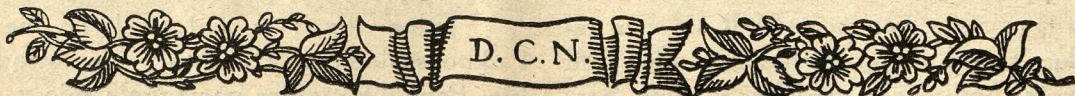
— Macie oto, waćpanie, przed sobą jeno amanta Natury. Nie jestem tutaj niczem więcej ani mniej, jak jeno drzewem w boru, zwierzem wśród zwierzy tych lasów. Amator samotności, podobam sobie tylko w kompanji roślin, które kultywuję, a zwierząt, które mię otaczają. Posiłki moje składają się jedynie z traw i jarzyn. Podejmę was ucztą, której skromność poraz pierwszy w życiu zawstydzę mię. Pozwólcie mi, waćpanie, oddalić się na chwilę. Obiad nasz zostanie wkrótce zerwany.

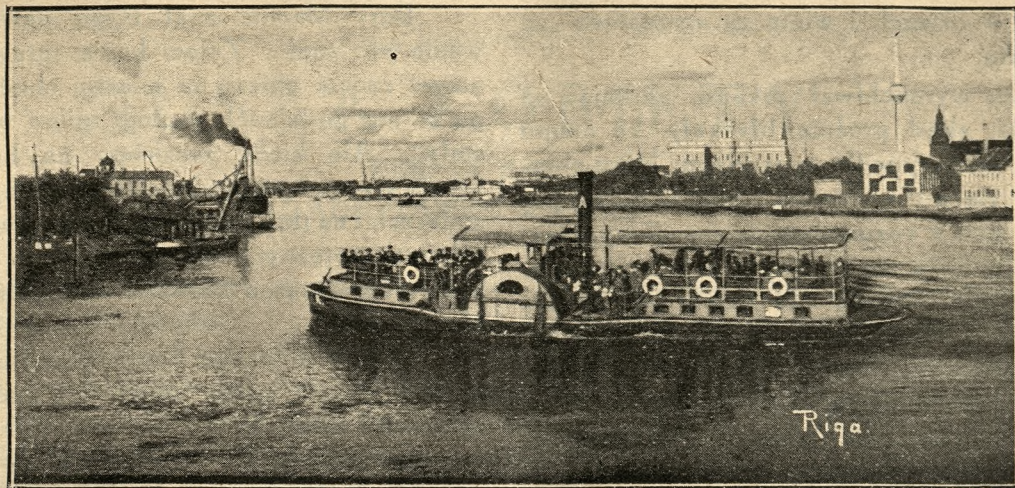
Zaczem, chyciwszy trzciniową kobiałkę, skłonił się nam galancko i wyszedł przez drzwi parkowe — tym swoim śpiesznym, ostrym krokiem. Ale Mirza poskoczyła za nim, jęła tarosić skraj jego szaty, snąc chcąc dobrać się do łydek, i, na supliki pani d'Estrailles, markiz pomacał ją grzecznie kosturkiem — tak, iż na całę długo takowe zakusy jej wyperswadował.

Pani d'Estrailles wydała mi się zadumana i nawet zafrasowana, jakgdyby ona jej słodka udręka nagle się była wzmogła. Potrzepywała sukien przed zwierciadłem, gładziła brwi, reparowała swą koafiurę... Ja zaś obzierałam się po theatrum naszej przygody.

Południe królowało powszędy — zewnątrz, jako i wewnątrz. Wonie a poszmery leśne przenikały tu wraz z szerszeniami i osami. Sala przystojnej była porcji, italską modą zastawiona rozlicznymi skrzyzami i onemi krzywoniemi karły, od pradziadów odziedziczonymi. Porządek trwał nienajlepszy: szufladki porozsuwane, rozwarne sepety, odchylone podwoje; kobierzec, kiepsko rozesłany, marszczył się na marmurowym pawimencie; kilka fruktów leżało bezładnie wprost na stole.

Gdy spojrzałam na piękne konterfekty familjne, rozeznawszy dokładniej tarcze herbowe, stuknęłam się w czoło: „Dalibóg, jesteście niewątpliwie u pana de Verluys“!





STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## MIASTO Z CZARODZIEJSKIEGO STOLICZKA

Miało się już ku zachodowi, kiedy „Gdynia” wpłynęła w szerokie ujście Dźwiny. Ciemno-zielone pasma niskich brzegów majaczyły za szaro-zieloną, matową powłoką płasko rozlanej rzeki. Nisko leżało nad nią mleczne niebo, opalizując w głębi wód bielmem sennego oka. W miarę zbliżania się do portu, coraz częściej huśtały się na powierzchni jaskrawe boje, niby skorupki olbrzymich pisanek, z których ani woda, ani słońce nie zdołały zmyć barw wielkanocnych. W pewnej chwili, niewiedomo skąd, oderwała się motorówka i, jak kamyk, puszczony wprawą ręką po wodzie, sunęła ku nam ze wzrastającą szybkością. Wyglądało to na pościg. „Gdynia”, zamiast obojętnie minąć natręta, kapitulowała posłusznie przed łupinką. Stojąc na pokładzie, czuliśmy, jak pod naszymi stopami słabnie rytm jej zdyszaney piersi, jak powolnieje oddech i zamiera sapanie zmordowanych maszyn. Wreszcie niedbałym ruchem zakołysała się, odrzuciła wstecz rozwidlone i pokarbowane smugi piany, biegnące za nią, jak szarfy za suknią kobiety, i spoczęła na wodzie. Uprzejmie czekała.

Cudzoziemski gość zwinnie podsunął się do jej boku, jakby chciał coś szepnąć na ucho krągłym konchom iluminatorów, chciwie łowiącym podejrzane szelesty. Ale te dyplomatyczne zwierzenia niedługo trwały. Przeciął je brutalnie ostry krzyk stiuarta:

— Pilot! pilot przyplłynął! mamy już pilota! — I biała kurtka z okrągłą, wystrzyżoną przy skórze głowiną u góry, powiała ku przybyłym, jak sztandar pojednania.

Spuszczono drabinę i z rozchylonego strączka motorówki wyłuskał się, jak ziarno bobu, wielki, pękaty, bury, czarną centką olbrzymiej kacapskiej czapy naznaczony człowiek. Na piersi jego, kopulasto

wzdymającej się w potężny brzuch, łagodny podmuch to zwijał, to rozwijał bez szelestu wachlarz ciemnej brody. Ta rokokowa zalotność dziwnie nie licowała z marsową postawą pilota. Jakby Zefir ośmielił się igrać z Tytanem. Zgorszeni tą poufałością, cofnęliśmy się od burty na przód statku, oczekując dalszych wypadków.

Tymczasem broda wwindowała się na pokład, z pokładu na mostek kapitański. Za szybą błysnęły złowrogo okulary, oprawione w brązową skórę naszego kapitana — broda kiwnęła pojednawczo. Statek odsapnął — ruszyliśmy. I tylko oczy nasze z szacunkiem i lękiem strzygły od czasu do czasu ku dostojnej brodzie, w swych zwojach ukrywającej Bóg wie, co? może Jowiszowe pioruny, a może ową tajemniczą „różę wiatrów”, o której przeciętny laik wie tyle, co o wężu morskim.

Coraz gęściej robiło się na rzece od statków, bark i łodzi. Minęliśmy długie pomosty tratów, zbitych z pni sosnowych. I zaledwie zdążyliśmy załatwić się z obiadem i wybiec na pokład: już nas cumowano. U dziobu stał starszy oficer, w którym niewiadomo było, co więcej podziwiać: nieposzlakowany krój munduru, czy nieposzlakowaną młodość — i wibrującym, jak struna mandoliny, głosikiem dawał rozkazy załodze, która rozkręcała druciane liny z windy, do tychczas zazdrośnie okrytej płachtami. Jeden marynarz, przechylony przez burzę, spuszczał ku wodzie na sznurku bierwiono, ogryzione ze wszystkich stron, jak żłób koński. Na drugim końcu statku inny robił to samo z kulą, szczelnie oplecioną sznurkami, podobną zdaleka do pękatego włoskiego fiaska. Wyglądało to tak, jakby statek składał przystani umówio-

na zgóry daninę w drwach i winie za szczęśliwe „za winięcie” do portu.

Starszy oficer wymachiwał rękami, zerkając na mostek kapitański, skąd groźnie błyskały ku niemu wszystkowiedzące okulary wilka morskiego; kilku oberwańców uwijało się po wybrzeżu, zakładając na pale pętle lin, rzucane z rozmachem przez marynarzy; a wszystko to odbywało się z takim przejęciem i powagą, jakgdyby nie dorosli, ale dzieci bawiły się „w morze”. Dopiero, kiedy moje bierwiono zgrzytnęło o bulwar, a sznurkową banię bok statku niemiłosiernie przydusił do pomostu, zrozumieliśmy, że to nie „na niby”, ale prawdziwe lądowanie. Błyskawicznie zrzucono trap, takie śmieszne, mularskie schodki z rampą z biało pomalowanego powroza, i na pokład wkroczyły władze lotewskie, poprostu: celnicy. Faryzeuszów, narazie, nie było; przynajmniej nikt z podróżnych ani z załogi nie przyznawał się do tej biblijnej, ale niestety jeszcze nie zanachronizowanej, sekty.

Zdaje się, że jednocześnie z władzami, pomijając formalności paszportowe, na statek wskoczył kot. Zwierzak był mizerny, plugawy i bez ogona, pomimo to załoga powitała go gromkiem „hurra!” Co spowodowało tę hałaśliwą owację? Właśnie ów brak ogona. Poznano go po tem kalectwie: był to kot okrętowy, stały mieszkaniec „Gdyni”, przypadkowo zabłąkany w obcym mieście. Podczas poprzedniego postoju w Rydze poszedł nawiązać stosunki dyplomatyczne z miejscowymi kotami, a trwało to tak długo, że gdy wrócił do portu, „Gdynia” już odpłynęła. Kot nie dał jednak za wygraną. Postanowił doczekać się swego pływającego domu. I odtąd robotnicy portowi byli niemal codziennie świadkami ciekawej sceny: ile razy do przystani zawijał jakiś pasażerski statek, tylekroć z molo wskakiwał nań kot bez ogona; pokręcił się, pomyszkował, obwąchał kąty i, zawiedziony, wracał na ląd. To nie jego statek.

Minęło parę tygodni. Zaryczała przeraźliwie syrena „Gdyni”. Kot był już na stanowisku. Prawą łapkę trzymał uniesioną zlekka do góry, jak wyżeł, skradający się do zwierzyny. Okazało się później, że łapka była złamana podczas niefortunnej ryskiej wyprawy.

Podwójny kaleka, zdziczały, nastroszony, sponiewierany, przyjął wybuchy entuzjazmu z godnością króla, wracającego z wygnania; zbiegł chyłkiem do kuchni, otarł się z cichym pomrukiem o nogi kucharza i zajął dawne swoje stanowisko między progiem, a stołem kuchennym, gdzie przy krajaniu mięsa zwykły spadać najpiękniejsze ochłapy. Stało się. Był „zakrętowany”. W dalszej podróży unikał wycieczek lądowych, a gdyśmy zpowrotem zawinęli do Gdyni, był już gładkim, łaskawym, kotem okrętowym, o dobrze wypchanych bokach. Tylko złamana łapka przypominała o kawalerskiej włóczędze

Bury Maciuś znał Rygę nawylot. Myśmy jej wcale nie znali. Zajęci kocią sprawą, nie raczyliśmy nawet rzucić okiem na miasto, choć naszym stopom po 30-stu godzinach żeglugi pilno było namacać „ląd stały”. Ale kiedy zeszlśmy na brzeg, stara Ryga wyrosła przed nami raptownie, jak zjawisko. Zapadał zmierzch i na tle opalowego nieba dźwigały się mroczne sylwety potężnych baszt, strzelały gotyckie wieże kościołów—czarna koronka, dziergana zgaszonym złotem zorzy.

Chwila milczącej kontemplacji i raptem olśnienie: ja ten widok znam! Skąd? ze starego stoliczka ze skrytkami. Stał zawsze, na misternie toczonych kolumnkach nóżek, w pokoju matki na honorowym miejscu, szczelnie zakryty serwetką. Otwierało się go tylko wtedy, gdy dzieci były grzeczne. Z pod odskakującego za naciśnięciem sprężyny wieczka buchał naprzód zapach lawendy i róży, a potem kolejno ze skrytek ukazywały się cuda. Spłowiałe saszety atlasowe, portfele, haftowane paciorkami, welinowe kartki, powiązane w paczki błękitnymi wstążeczkami, wyblakłe fotografie; wreszcie ta, która była celem marzeń dziecięcych: liljowa teczka z nalepionym na wierzchu chłopczykiem w ubranku z prawdziwego aksamitu. Chłopczyk miał buzię okrągłą i rumianą, jak jabłuszko, aksamit ubranka łaskotał palce brzoskwinowym puchem, i wstrząsał serce dreszczem niepokoju, kiedy drewniane wieczko zapadało nad słodką pokusą.

Na blacie, wymyślnie inkrustowanym, czerniał nieco zatarty widoczek miasta nad rzeką. To nas najmniej interesowało. Co to może być? Wiadomo! Warszawa nad Wisłą. Inne miasta i rzeki jeszcze dla nas nie istniały. Ale z latami przyszło zastanowienie. Miasto na stoliczku miało oblicze archaiczne, ale nieznanne. Leżało na płaszczyźnie, a i most był inny, niż z Warszawy na Pragę. Ktoś domyślny, czy też więcej od nas w świecie bywały, rzucił nazwę: „Ryga”. Może to i Ryga? Któż ją wie? I miasto ze staroświeckiego stoliczka, szczelnie zakryte makatką, zostało za nami w świecie legendy.

A teraz ożyło raptem, podobne do tej „Księżniczki z morza”, którą błędny rycerz poznaje z wyblakłej minjatury.

Zdawało się, że za chwilę odskoczy wieczko i ukażą się z pod niego wszystkie zapomniane cuda... saszety i portfele, paciorki i atlasy... Coprawda, odory portowe w niczem nie przypominały subtelnego aromatu róży i lawendy, ale przecież od zeszłego stulecia nawet czarodziejskie stoliki musiały się zdemokratyzować... Zato aksamitny chłopczyk z liljowej teczki nie zawiódł oczekiwań. Miał, jak tamten, rumianą buzię i gołe kolana. Wyrósł tylko i zmęźniał od tego czasu, nawet zdał maturę. Zamiast aksamitnego ubranka nosił zieloną harcerską koszulę i gwizdawkę na sznurku. Krótko mówiąc, był polskim skautem i oprowadzał nas po Rydze.

Ale poznaliśmy go dopiero nazajutrz.

GINA LOMBROSO

6)

# DUSZA KOBIETY

KSIĘGA II.

ZAGADKI DUSZY KOBIECEJ

## Przeciwieństwa, związane z rodzajem wrażliwości kobiecej, i ich skutki.

Pobudliwość uczuciowa, skierowana bardziej ku innym, niż ku sobie, zmienia najzupełniej rolę wzruszeń. Zadanie ich polega na wskazywaniu czynów przykrych, których należy unikać, a poddawaniu miłych, do których trzeba dążyć. Da się to doskonale pogodzić z rozumem; dlatego mężczyzna, z usposobienia egocentryk, może iść za wskazaniem rozumu, pożądać wydarzeń, zapowiadających przyjemność, a unikać niemiłych.

Sprawa wikła się, gdy wchodzi w grę inne osoby, ponieważ w większości wypadków można kogoś zadowolić tylko poprzez własne cierpienie, a dbać o własne przyjemności tylko przez zadawanie cierpienia innym.

Stąd ciągła rozterka w duszy kobiecej, w której dążenia egocentryczne nie wygasły, tylko drzemają, gdy tymczasem aspiracje alterocentryczne przeważają wprawdzie, lecz nie są wyłączne.

## Kobieta zna dokładnie mechanizm wzruszeniowy i swoje powołanie

Głęboka znajomość mechanizmu wzruszeniowego pozwala kobiecie obracać sprężyny przyjemności i przykrości, pozornie tak indywidualne, a którymi ona bardzo łatwo zawładła.

Zdolność wywoływania dowolnie radości i cierpienia obdarza ją bezwzględną wyższością, na którą mężczyźni spoglądają w zachwycie, albo z lękiem, mieniąc ją raz aniołem, raz demonem,—w każdym razie czemś nadprzyrodzonym, ponieważ w rzeczy samej jest to dziedzina najzupełniej im niedostępna. Tak samo dziwnemu wydaje się czemś nadprzyrodzonym, gdy mechanik paroma obrotami śruby każe się unieść w powietrze samolotowi, co dotąd, jak martwy, leżał na ziemi; albo puszcza w bieg przez kraje lokomotywę, choć zdawało się, że żadna siła ludzka nie będzie w stanie jej poruszyć.

Mężczyzna zastanawia się jeszcze, dlaczego dziecko się rozplakało, kobieta tymczasem zdążyła już otrzeć mu łzy; mężczyzna, przybity niespodziewaną zniewagą, doszukuje się, skąd ona na niego spadła; kobieta już znalazła przyczynę i zniewagi, i przygnębienia, znalazła słowo pociechy i czyn, który ją pomniejszy.

Kobieta porusza się i działa w tak na pozór tajemniczym świecie uczuć, jak mężczyzna w jasnym na oko (nie dla niej!) świecie interesu.

Zdolność owa jest tak specjalnie kobieca, że jednostka, która jej nie posiada, nie umie „uprzedzać życzeń” innych, wyysiakiwać owych wrodzonych danych—uchodzi za pozbawioną kobiecości i to zarówno w oczach mężczyzn, jak kobiet. Jeżeli nie potrafi działać na ludzi w tym kierunku, nie interesuje się temi sprawami, nie mówi o nich—kobiety nazywają ją „głupią” i „nie mogą patrzeć na nią”; mężczyźni nie zwracają na nią uwagi, jako na „mdłą”.

Zdolność ta rodzi się w kobiecie z wrażliwości na przeżycia innych, z ciekawości i chęci współdziałania, ponieważ tylko ciekawość i zainteresowanie pozwalają wyczuć stan innych dusz, choćby się same nie wypowiedziały, i wpływać na pożądaną zmianę.

\* \* \*

Na tem zasadza się przedewszystkiem inteligencja kobieca: w tym kierunku zwraca ona główne swoje zainteresowania, wkłada najwięcej miłości własnej, i tu znajduje źródło największego zadowolenia. Pociężyć cierpiącego, przysporzyć radości—więcej dla niej znaczy, niż odnieść triumf literacki, czy dokonanie odkrycia naukowego, albowiem naczelnem jej hasłem jest: dawać radość, usmierzać ból.

Bezwiedne to hasło wszystkich matek, uciążliwe zadanie wszystkich umysłów kobiecych, a za głosem jego idzie i niepozorna karmicielka, i najświetniejsza kobieta, przemierzając głębie bólu i zaznając tajemniczych radości, których nie domyśla się nawet ten, kto obojętnie z nich korzysta. Zadanie to obejmuje całą skalę inteligencji ludzkiej: od pieśczości do twardej pracy; od całopalenia do zadziwiającej roboty organizacyjnej; od pełnego pokory uwielbienia do entuzjazmu i czynnej, płomiennej wiary; od cichej pieczy nad noworodkiem do wiekopomnego tworzenia tradycji, ideałów, straży skarbów moralnych i umysłowych.

Noworodek żyć może jedynie pod warunkiem, że jest ktoś, całkowicie mu oddany, kto wygładza przed nim wszelkie trudności istnienia; podobnie i społeczeństwo trwa i działa, bo jest w niem ktoś, bez reszty poświęcający się dla innych. Tym kimś jest tylko kobieta.

To, że możemy być artystkami, lekarkami, pracować zawodowo,—nie uwalnia od obowiązku dbania o innych, który, narodzony z macierzyństwa, rozciąga się na wszystkie istoty, wchodzące w naszą sferę działania. Musimy tak samo podtrzymywać dokoła siebie życie materialne i moralne, upiększać je i czynić moż-

liwie najszcześniejszym, choćby kosztem własnej duszy, własnego ciała i uczuć, które nas do tego przeznaczyły.

**Intuicja, wyobraźnia. Wycucie proporcji. Konieczne dopełnienie wrażliwości na cudze przeżycia.**

Czy jednak życie pod wodzą pobudliwości, mającej źródło poza nami, nie upodabnia nas do liści, miotanych wiatrem? Nie, bo w rzeczywistości czyny kobiet są logiczne i wiążą się ze sobą, nieraz lepiej od męskich.

Albowiem, kiedy milknie rozsądek, rachunek, namysł,—miej ce ich zajmują inne władze, równie ważne i właściwe, chociaż niepodległe woli: *intuicja, wyobraźnia, poczucie proporcji i harmonji.*

*Intuicja* — owo ucho muzykalne, które nieświadomie rozróżnia i klasyfikuje dźwięki; oko, które z pierwszego wejrzenia ocenia odległości i oblicza; dotyk, który rozpoznaje wagę położonych na dłoni ziaren; węch, który wyczuwa wodę na suchym polu; promień, zdolny przesywać wskroś najnieprzenikliwsze ciała i dusze—prowadzi nas samorzutnie i nieraz mimowolnie, ale nie wbrew logice, do niedostępnych zmysłom przyczyn zjawisk i do ich nieprzewidywanych skutków. Dla naszej duszy intuicja jest tem samem, czem dla mężczyzny rozumowanie.

*Wyobraźnia* — zdolność wzniesienia się nagle, od jednego słowa, czy kształtu rzeczywistego do nieskończonych obrazów, czy kombinacyj, które choćby zdaleka dają się z nim skojarzyć,—pozwala nam błyskawicznie zdobyć się na czyn, najwłaściwszy w danym wypadku, tak jakby to był wynik najzawilszych obliczeń.

*Poczucie proporcji i harmonji* — ucho muzykalne, które poza obrębem rozumowania pozwala nam wyczuć naturalne granice pojęć, tworców wyobraźni i ich stosunek do otaczającej rzeczywistości — nie daje za nadto wybujać czynom, powściągając je równie skutecznie, jak rozumowanie i logika.

Intuicja, wyobraźnia i wycucie proporcji kształtują i porządkują wzruszenia, przemieniając je w uczucia, nasze przewodniki na codziennym planie życia, za którymi idziemy bezwolnie, ale nie bezświadomie. Zapewne, narzędzia to grubsze i mniej dokładne, jednak w życiu praktycznym, a zwłaszcza w powołaniu kobiety, służą doskonale, bo mają wielką zaletę błyskawicznej sprawności: zamiast odsuwać czyn, popychają do niego, czego nie można powiedzieć o rozumie.

**Wady, zalety, sprzeczności kobiece i ich pochodzenie**

Jeżeli zwrócimy uwagę na wady i zalety, na specyficzne cnoty kobiety: uczuciowość, współczucie, duch poświęcenia, wylewność, hojność, kłótniwość, natarczywość, wścibstwo, stronniczość; na widoczne sprzeczności: nieśmiałość i odwagę, litość i okrucieństwo, próżność i skromność, zmienność i wytrwałość, zde-

cydowanie i niepewność; dalej, na jej pojęcia o sprawiedliwości, o miłości, na jej dane umysłowe — zawsze u podstawy znajdziemy uczucia, skupiające się na innych; różne postacie chciwości wrażeń, zainteresowań, chęci działania i zawsze bodźce, jak intuicja, wyobraźnia i poczucie proporcji, które w stosunku do rozumu grają przeważającą rolę. (d. c. n.)



TEATR LETNI:

„Wesele Fonsia” — krotchwila w 3 aktach *Ruszkowskiego*.

Dobrze jest czasem, po paru nieudanych próbach wylawiania ze współczesnego repertuaru prawdziwych „grubych ryb” humoru, zapuścić wędkę do tak zwanego w rybackim języku „zimochowu”, jakim jest każde archiwum teatralne, i wyciągnąć na brzeg rzetelnego szczupaka, który mat czyni w wodzie, a ruch między ospałymi rybami.

Takim szczupakiem, który na długo rozhušta zamarłą i zakisłą sadzawkę naszej farsy wybuchami żywiołowego śmiechu, rozchodzącego się po widowni, jak kręgi na wodzie — jest niewątpliwie wznowione po 30-tu latach „Wesele Fonsia”. Trochę już trąca Bałuckim i Blizińskim te figury rozlazłych dziedziczek; jędrnych w ciele, a twardych na umyśle „panienek ze dwora”, na różne tony wzdychających do męża; tych pisarzy prowentowych, ekonomów „światowych” i bałagulskich paniczów — cała ta galerja prowincjonalnych pokrak, wołających o ołówek Kostrzewskiego, o modę z roku pańskiego 1900, o styl epoki, która tak prędko przeszła do historii.

Poważnym błędem reżyserji na premierze „Fonsia” był brak dbałości o ujednostajnienie kostjumów. Kobiety, z wyjątkiem jednej Chaveau, miały suknie współczesne, krótkie, zanadto krótkie, nietylko ze względu na rok 1900, ale na grubość nóg i na patriarchalno - ziemiańską sferę, w jakiej te nogi się obracają (suknia ślubna Lenerówny w drugim akcie zupełnie niedopuszczalna: nie dochodzi do kolan). Mężczyźni lepiej dostosowali się do czasu i miejsca; przedewszystkiem Fertner, którego świetna sylweta stała się osią zainteresowania. Pozostali aktorzy, jak Kurnakowicz, Orwid, Hnydziński i inni — byli trafni w wyrazie i doskonale robili na scenie krotchwilny bałagan. Role kobiece, naogół znacznie bledsze, nie dawały pola do popisu, prócz jednej Chaveau, której chusteczka i płacz wyciskały widzom łzy serdecznego śmiechu.

S. P. O.

# Kobieta w świecie i w domu

## JAK WYGLĄDA DZIŚ OPIEKA NAD MATKĄ I DZIECKIEM W POLSCE

Staraniem komitetu polskiego międzynarodowego, Kongresu opieki nad dzieckiem, a z zasiłku Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, wyszła niedawno książka, która zainteresować musi uspołecznione kobiety, czynne działaczki na polu pracy społecznej, lub poważne do tej pracy kandydatki.

Pod tytułem: „Opieka nad macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą w Rzeczypospolitej Polskiej” zebrano na 450 stronicach druku in octavo całokształt wiadomości o zakresie i metodach tej opieki nad matkami i niemowlętami, jej organizacji pod względem higieniczno-lekarskim i o zakładach opiekuńczych dla dzieci i młodzieży.

Po bardzo interesującym i pouczającym wstępie, zawierającym także wskazówki wytyczne prac, zamierzonych w tym względzie przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej—główną treść książki stanowi wykaz przeszło tysiąca zakładów opiekuńczych dla dzieci i młodzieży (według województw), istniejących na obszarze Polski. Dział ten, obficie ilustrowany, utrzymany jest w ściśle sprawozdawczym stylu, zawiera jednak bardzo cenny materiał informacyjny.

Wreszcie trzeci dział obszernego dzieła mieści teksty ustaw, rozporządzeń i okólników, wydanych przez nasze władze państwowe w przedmiocie opieki nad macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą. Znajomość tych ustaw jest niewątpliwie konieczna dla organizacji i osób, zajmujących się opieką społeczną nad matkami i dziećmi, zakładami, żłóbkami, sierocińcami, bursami, kolonjami letniami, walką z gruźlicą i z jaglicą wśród dzieci.

Dużo dobrej i mądrej inicjatywy może wzbudzić ta książka. j. k.

## W IMIĘ PRZYSZŁOŚCI NARODU KONIECZNOŚĆ POPIERANIA TOWARZYSTWA EUGENICZNEGO

Troską rządu i społeczeństwa jest podniesienie wartości bogactwa narodowego. Bogactwem tem jest praca wytężona i powszechna. Polska musi mieć jaknajwięcej rąk do pracy i najbardziej do niej przygotowany i wartościowy materiał ludzki. Dlatego też zagadnienia zdrowia i podniesienia wartości moralnej i fizycznej człowieka nie są utopją, lecz realnem dążeniem do osiągnięcia celu.

Czy Polska dostatecznie spełnia te zadania? Możemy stwierdzić, że spełnia je w stopniu bardzo niedostatecznym.

Departament Służby Zdrowia, który objął większą część agend b. Ministerstwa Zdrowia Publicznego, ma do spełnienia dwa wielkie zadania: 1-o—higieniczne: podniesienie warunków zdrowotnych ludności, oraz 2-o—eugeniczne: wytworzenie najdzielniejszego typu pracownika dla państwa i społeczeństwa.

Pierwsze z nich, polegające na poprawie warunków zewnętrznych przez usuwanie brudu i zarazków, zostało już w znacznej mierze wykonane, dzięki długoletniej pracy higienistów; choć i ta działalność, wskutek niesłychanego ograniczenia budżetu Departamentu Służby Zdrowia, jest sprowadzona do minimum wydajności. Pewien wyjątek stanowi tu dział wychowania fizycznego, lecz, krocząc z konieczności drogą systemów militarnych, nie może objąć całokształtu zadania. Dlatego powstaje konieczność równoczesnego traktowania tej dziedziny wiedzy, która analizuje typy ludzkie, ich poszczególną wartość i odpowiednie użytkowanie. Taką dziedziną jest eugenika.

Wchodzi ona w zakres działania Departamentu Służby Zdrowia; od początku jednak istnienia Departamentu ani jeden grosz na cele, związane z eugeniką, nie został wniesiony do budżetów, przedstawionych sejmowi do zatwierdzenia.

Wśród zagadnień eugeniki na pierwszy plan wysuwa się sprawa właściwego doboru ludzkiego w związkach małżeńskich. Przeszkodzenie zawieraniu małżeństw między osobami, choremi zakaźnie (wenerycy, gruźliczni gorączkujący, chorzy umysłowo, dziedziczeni idjoci i t. d.) uwolni państwo od olbrzymiego balastu utrzymywania instytucyj dla niedorozwiniętych umysłowo, więźni i t. d.; do osiągnięcia tego celu najwięcej przyczynić się może propaganda dobrowolnych porad przedślubnych w poradniach eugenicznych.

Drugim działem eugeniki jest walka z czynnikami, niszczącymi i zwyrodniającymi rasę ludzką, a więc z zakażeniami, przekazującymi się potomstwu, że wymienimy choroby weneryczne, oraz przewlekłe zatrucia. Dalej, jako dział trzeci, idzie poznanie materjału ludzkiego, tworzącego dane państwo, poznanie jego uzdolnień, oraz uzdolnień całych skupień ludności. W tej dziedzinie powstała już antropologia rodowa — jeden z działów eugeniki. Stany Zjednoczone, które przodują w badaniach eugenicznych, w szeregu swych instytutów zbadały zgorą 10.000 rodzin najwybitniejszych i tyleż rodzin, stanowiących ujemny bilans narodu, a więc rodzin żebraków, przestępców, obłąkańców etc. Badanie uzdolnień ludzkich i popularyzowanie wśród młodzieży wiadomości o wyborze zawodu jest zagadnieniem, popierającym dobór właściwych ludzi na właściwe stanowiska, gdyż zamiłowanie zawodu stanowi o powodzeniu i wynikach pracy.

Omawiając zagadnienia eugeniki, przypominamy, że istnieje, od szeregu lat Polskie Towarzystwo Eugeniczne, które prowadzi poradnię przedślubną i doboru zawodu, oraz wydaje jedyne w polskim języku broszury: „O wyborze zawodu”; prowadzi poradnię przeciwkiflową dla matek i dzieci, udziela porad sportowych; wydaje „Bibliotekę Eugeniczną, kwartalnik „Zagadnienia Rasy”, propagandowe plakaty i ulotki; prowadzi kino dla dzieci i młodzieży, wzorowe pod względem treści; organizuje szereg bezpłatnych kursów dla lekarzy, nauczycieli, studentów i szerokiej publiczności.

Widzimy więc, że całkowitą inicjatywę i pracę, związaną z eugeniką, podjęło Polskie Towarzystwo Eugeniczne.

Czy Ministerstwo Skarbu nie wzięłoby pod uwagę tej ważnej sprawy i nie uznałoby za stosowne wyznaczyć pewien fundusz na cele eugeniczne do budżetu Departamentu Służby Zdrowia?

Eugenja Wasniewska.

## PIĘKNA AMAZONKA FRANCUSKA W WARSZAWIE

W ubiegłym tygodniu bawiła kilka dni w Warszawie młoda amazonka francuska, panna Rachel Dorange, w drodze z Bukaresztu do Paryża. Całą tę podróż, tam i zpowrotem, dzielna i urodziwa francuzka odbywa konno na własnym wierzchowcu „le Huppe”, 16-letnim gniadym ogierze anglo-arabie, którego własnoręcznie karmi i czyści podczas drogi.

W podróży jeździ po męsku: w długich butach, bryczesach i czarnym rajtroku. Na kształtną główkę nakłada popielaty męski kapelusik, pod którym ukrywa bujne włosy, ujęte w siatkę. Włosów nie obcięła: tłumaczy z wdziękiem, że kapelusik tak lepiej się trzyma. — W Paryżu zawsze jeździ po damsku, w amazonce. — dodaje. — Ostrzegano mnie, że w Polsce, kraju o obyczajach patriarchalnych, gorszyć się będą moim strojem, ale nie zauważyłam tego. Jestem przecież przyzwyczajona ubrana od tych pań, które pokazują obnażone nogi i ramiona.

Pomimo tego stylu „collet monté”, smukła i zwinna postać pełnej temperamentu, żywiołowo wesołej, doskonale tańczącej sportsmenki, stale niemal ukazującej się w męskim stroju—budziła zrozumiałą sensację w teatrach i na dancngach stolicy.

Troki podróżne panny Dorange zawierają wprawdzie jedną suknię wieczorową, kupioną w Bukareszcie, ale spotkała ją katastrofa: po chemicznem praniu rozleciała się w kawałki. Prawdopo-



P. Rachel Dorange ze swoim wierzchowcem

dobnie materiał był zleżały, po przecięciu nasze pralnie słyną z precyzji w wykończeniu. W każdym razie przyjemniej, w danym wypadku, złożyć winę na Rumunję, niż wziąć ją na siebie, choćby w imię staropolskiej gościnności...

Bagaż panny Dorange, bardzo skromny, całkowicie mieści się w małych trokach, znacznie szczuplejszych od troków przeciętnego ułana.

— To, co w nich mam, starczy mi na dwa miesiące! — oznajmia z dumą.

Naturalnie, w mantelzaczkę nie brakuje paryskiej maskoty: miniaturowego pingwina, który dzieli ze swoją właścicielką siodło i znosi cierpliwie potężnego kłusa, jakim panna Dorange robi mniej więcej po 60 kilometrów dziennie. Ale i 95 kilometrów jej nie przstrasza! Jedyny to, zresztą zawsze milczący, towarzysz podróży. Dzielna amazonka samotnie przemierza obce kraje, nie troszcząc się o to, gdzie będzie nocować, jakiej ją czeka spotkanie, czy przygoda.

— Nie robię nigdy projektów dalej, niż na tydzień — przecina krótko wszelkie zapytania w sprawie przyszłych raidów. — Teraz jadę przez Kraków, Pragę, Norymbergę, Strasburg do Paryża, — c'est tout!

Od Zamościa towarzyszy konno dorodnej amazonce pan Lipczyński, młody ziemianin. Był w polu, kiedy przejeżdżała przez jego majątek. Dosiadł konia, aby ją odprowadzić do najbliższego popasu i... nie opatrzył się, aż się znalazł w Warszawie. Prawdopodobnie dojechałby tak do Paryża, gdyby nie brak paszportu zagranicznego. A zresztą, kto wie?.. kawalerska „rezyka“ nieraz działa cudal..

S. P. O.

#### KOBIETY NA KONGRESACH PRACY SPOŁECZNEJ W PARYŻU

Międzynarodowy Kongres pracy społecznej, który odbył się w początkach lipca w Paryżu, ściągnął przeszło 3.000 uczestników z całego świata.

Obrady trwały dwa tygodnie. Wskutek jednak wadliwej organizacji i współcześnie wyznaczanych posiedzeń poszczególnych sekcji — na Kongresie panował chaos, robiący przykre wrażenie.

Głównymi działami Kongresu były: ochrona dziecka, organizacja służby społecznej, organizacja opieki społecznej i kwestia mieszkaniowa.

Kongres połączony był z wystawą, w której wzięła udział także i Polska, przedstawiając najobszerniej rezultaty pracy w dziedzinie opieki społecznej nad dzieckiem, macierzyństwem i niezadowolonymi do pracy.

Delegacje polskie brały głównie udział w Kongresie Ochrony dziecka i Konferencji służby społecznej, prowadzonej przez dr. Aliję Massarykównę, córkę prezydenta Czechosłowacji.

Interesującą cechą tych Kongresów było, iż olbrzymią przewagę wśród uczestników stanowiły kobiety. Udział elementu kobiecego, tak pożądany w zasadzie, zaznaczył się jednak także i ujemnie w technice obrad. Oto wiele „działaczek“ społecznych zasługiwało może na tę nazwę na ciasniutkim terenie małego miasteczka, jednej szkoły, lub sierocińca. Zdarzało się, że te poczciwe „paniusie“ chciały koniecznie Kongresowi opowiedzieć o swoich odwiecznych metodach i kłopotach z 60-ciu wychowankami, nie mając do powiedzenia ani nic nowego, ani przedstawiającego wartość dla szerokiego świata i nowoczesnych zagadnień społecznych.

Oczywiście, Kongres był odbiciem stosunków i prądów, panujących na polu pracy społecznej. Filantropja, dobre chęci, dobroczynne i litościwe poglądy jeszcze pokutują tu i owdzie, chociaż już dawno zdystansowała je zorganizowana i fachowa praca społeczna, traktowana dziś, jako służba jednostki dla ogółu, a obowiązek państwa i samorządu na rzecz obywateli. Tak pojmując opiekę społeczną kraje, przodujące pod względem urządzeń społecznych, jak państwa skandynawskie, Anglja, Belgja, Niemcy. Mimo swej starodawnej kultury, Francja i Hiszpanja, częściowo i Włochy, kroczą na szarym końcu. Polska przebija się na nowe drogi, posługując się jeszcze częściowo starym aparatem dobroczynności, przekształcając go i szkoląc zastępy uspołecznionych działaczy i fachowych pracowników.

j. k.

#### HENNY PORTEN Z MAŁYM SOMALISEM NA RĘKU



Do Berlina zjechała trupa murzynów-somalisów i zamieszkała w zaimprovizowanej wiosce afrykańskiej, gdzie berlińczycy mają sposobność poznać zwyczaje tego egzotycznego plemienia, o którym obszernie pisze Sienkiewicz w swoich „Listach z Afryki“. Na ilustracji znakomita artystka filmowa Henny Porten piastuje małe murzyniátko, bardzo zadowolone z pieczyoty „białej Cioci“.

#### SPROSTOWANIE

W Nr. 35 „Bluszczu“ pod pląkietą, przedstawiającą wizerunek Hoene-Wrońskiego, opuszczono tekst, który brzmi, jak następuje. Pląkietka Hoene-Wrońskiego, wykonana przez Mennicę Państwową w 150-tą rocznicę urodzin filozofa. Rzeźba Józefa Aumillera.

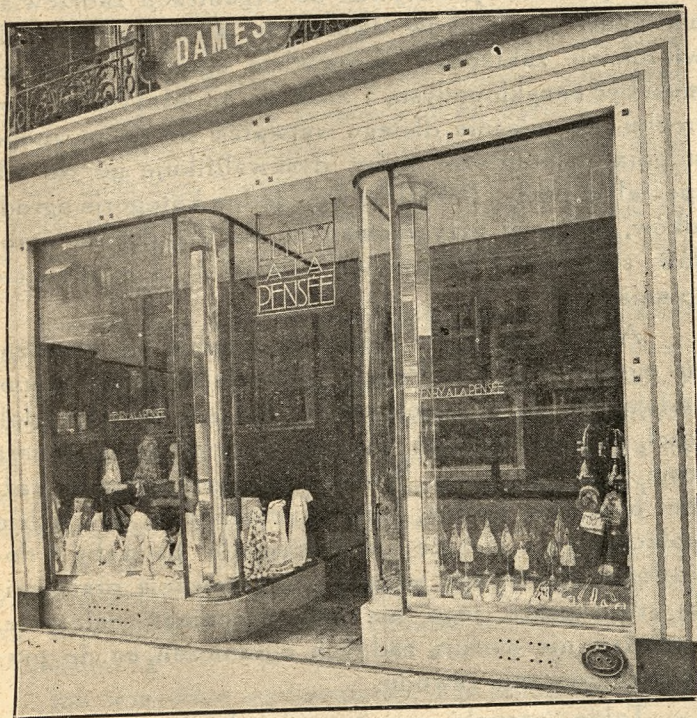


## ESTETYKA WYSTAWY SKLEPOWEJ

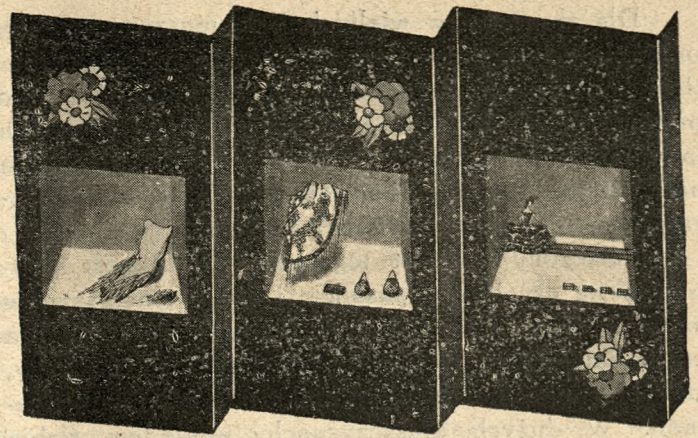
Walory estetyczne czynników reklamy — afisza i plakatu, szyldu i ogłoszenia świetlnego, a wreszcie wystawy sklepowej — decydują o wyglądzie i kulturalnym poziomie ulicy. Szczególnie wieczorem, gdy kontur architektoniczny niepewnym cieniem niknie w mroku — gra barw i światła mówi wszystko o życiu wielkomiejskim. Rozpoczyna się zaczarowana bajka zapalających się i gasnących ogni, która magazyny bulwarowe zmienia w zaklęte pałace. Płoną stropy z żarówek elektrycznych, rakiety kreślą zarysy wschodnich kopuł, mieszają się barwy w swej przemianie. I bajka, choć wyrosła z podłoża prozaicznej, twardej walki o byt, staje się chlubą metropolji i ważnym czynnikiem jej piękna.

Wystawa sklepowa jest mniej monumentalna, a zato bliższa oku i pulsującemu ruchowi. W całości kształcie ulicy odgrywa ona dekoracyjną rolę malarstwa, obrazu płaskiego, choć w rzeczywistości posiada trzy wymiary. Stąd dekorator wystawy powinien układać ją tak, jakby komponował obraz, nie zapominając jednak o zasadniczej różnicy w założeniu.

Obraz sam w sobie jest celem i środkiem, podczas gdy wystawa sklepowa tworzy środek do osiągnięcia celu. Artysta maluje z wewnętrznego nakazu i stwarza powtórnie własne przeżycia. Dekorator wystawy sklepowej bierze pod uwagę właściwy jej cel: zwrócenie uwagi przechodnia, reklamę towaru i zdobycie stałej klienteli. Realizując cel, uwzględnia możliwy do osiągnięcia moment estetyczny. Podkre-



Rys. 1. Fasada magazynu Henry à la Pensée w Paryżu



Rys. 2. Schemat kontrastowej fasady

ślamy — możliwy do osiągnięcia — gdyż niema tu mowy o abstrakcyjnym ideale piękna. Dekorator, w swej koncepcji wystawy, zależy od kształtów okna, pochodzenia i jakości towaru, jego formy stałej lub płynnej, opakowania — wreszcie od charakteru nabywców, na których sklep liczy. Inaczej reaguje publiczność wielkich i małych miast; inaczej, tak zwana klientela pierwszorzędna i drugorzędna pod względem smaku estetycznego, lub możliwości, czyli siły kupna.

Na piękno wystawy sklepowej składają się: harmonijna kompozycja linearna z jednej strony, umiejętne operowanie światłem i barwą — z drugiej. Kompozycja polega na porządku w znaczeniu estetycznym, to jest na proporcjonalnym ustosunkowaniu części do całości i na jej układzie, w przeciwieństwie do chaotycznego nagromadzenia przedmiotów, które raziłoby wzrok, jako brzydkie i nieprzejrzyste, a więc niecelowe, bo utrudniające wybór.

Zwartość kompozycji okna lub okien jednego sklepu występuje silniej, gdy jest zamknięta jako całość, wyodrębniona od sąsiednich witryn, które wskutek założenia ulicy muszą tworzyć ciąg nieprzerwany. Tej ważnej roli rama przypisać należy charakterystyczne dla najnowszych czasów zwrócenie uwagi na kompozycję fasady sklepu.

Dążenie to doprowadziło do zmian w stosunkach wielkości między fasadą sklepu, a właściwym oknem wystawowym. Rama staje się większa, okno — mniejsze. Gdy natomiast sklep ma stosunkowo węższą ramę, a wielkie szyby wystawy, uzyskuje się efekt, jeżeli nie wyodrębnienia, to pewnego oddalenia, przez zgrupowanie eksponatów w dolnej, przedniej części wystaw, wskutek czego pozostaje w oknach dużo wolnej przestrzeni. Jako przykład takiego rozwiązania kwestji, podajemy fasadę znanego magazynu Henry à la Pensée w Paryżu, 3 i 5 Faubourg St. Honoré (Nr. 1).

Przy sposobności podkreślamy znaczenie, jakie ma dla wystawy jednolita, kryształowa tafła szyby, nieprzerwana w górnym polu żadną zbyteczną linią wpoprzek. Miłe wrażenie wywołuje łagodne zaokrąglenie szyby na węglach wystawy, u wejścia do sklepu.

Dla eksponatów wielkich, jak maszyny, meble, automobile itp., duża przestrzeń wystawy jest warunkiem koniecznym. Przedmiotom, niewymagającym tyle miejsca i głębokości, szczególnie drobiazgom (biżuterja), najlepiej odpowiadają nowoczesne nawskroś okna małe, silnem oświetleniem odcinające się z tła kontrastowej — niekiedy barwnej fasady.

Załączony schemat tego typu (Nr. 2) jest wzorowany na oryginalnej fasadzie jednego z magazynów konfekcji na wielkich bulwarach paryskich. Czarna fasada sklepu tworzy kątowe występy i płaszczyzny, nachylone ukośnie do ulicy, nakształt załamania parawanu. W dużych płaszczyznach, względem siebie równoległych, umieszczono witryny niewielkie, silnie oświetlone. Wielkie, plastyczne motywy z kwiatów, gustownie rozmieszczone na fasadzie, raz powyżej, raz poniżej witryny, wiążą kompozycję w jednolitą całość, tembardziej, że barwa przedmiotów wystawionych zawsze harmonizuje z kolorytem jednego z kwiatów na motywach (Wiązanki w tonach: zimno-różowym, zimno-zielonym, lila, niebieskim, żółtawym).

Na podobnej zasadzie oparte było stoisko firmy perfumeryjnej „Elida“ (Wiedeń) na Targach Wschodnich we Lwowie. Wśród gładkiej powierzchni, obitej sukniem granatowem, uderzała oko mała witryna, urządzona z nowoczesnym umiarem: flakon perfum, mydełko i kilka drobiazgów.

Fasady, komponowane na podstawie kontrastu, mają wybitną własność wyodrębniania sklepu i zwracania nań uwagi. Jednak naodwrot, jak każde mocne i uproszczone wrażenie, utrwala się zanadto w pamięci, to jest, mówiąc potocznie — łatwo się przykrzą. Dlatego są odpowiednie albo na krótki czas, albo wśród ruchu wielkomiejskiego, który coraz inną publiczność przesuwają przed oknami magazynu: dla pierwszorzędnej firmy przy ruchliwej arterji stołecznej.

Omawiając kompozycję właściwego okna wystawy, zaczniemy od tła. Stosownie dobrane, uwydatnia eksponaty, podczas gdy wadliwe tło gubi ich kontury i barwę. W tym sensie ujemnie działają wzorzyste obicia i wogóle wszystko, co rozprasza spokojną głębię dalszego planu wystawy. Okna umieszczone w tylnej ścianie, są bardzo niekorzystne. Mimo to, spotykamy je często, ze względu na oświetlenie wnętrza sklepu.

(d. c. n.)

*Helena Wolska.*

## DRZEWA LIŚCIASTE

„Polecam w ciągu marca i kwietnia 1928 r. dokonać zadrzewienia placów i ulic miast, miasteczek i wsi.

„Zadrzewienie ma być przeprowadzone przez fachowców, o ile możliwe drzewami już rozwiniętymi. Posadzone drzewa mają otrzymać dostateczną ochronę przed ich uszkodzeniem.

„Żądam, by po całkowitem oczyszczeniu w ciągu zimy miast i wsi—z wiosną roku przyszłego, dzięki zadrzewieniu, zbiorowiska ludzkie w Polsce przypominały swym schludnym wyglądem miasta i wsie polskie z czasów z przed niewoli“.

Oto parę ustępów z okólnika Ministra spraw wewnętrznych, wystosowanego 2. XI. 27 do Wojewodów i Starostów w sprawie zadrzewienia kraju. Myśl, zawarta w tym okólniku, jest bardzo piękna, cel szlachetny, inicjatywa zdrowa i pożądana, więc powinna znaleźć dobrowolny, serdeczny oddźwięk wśród wszystkich warstw naszego społeczeństwa i najwyższe współdziałanie wśród naszych władz samorządowych. Może techniczna strona zarządzenia szwankuje, bo gdyby miała literalnie być wykonana, to nie starczyłoby w kraju ani materiału roślinnego, ani czasu fachowcom do przeprowadzenia takiego nawału pracy. Naturalnie jednak musimy się najprzód porozumieć, co do ścisłego określenia znaczenia „fachowiec“. Czy w zakresie zadrzewiania miast, miasteczek i wsi może za takiego uchodzić doskonały skądinąd hodowca warzyw, wytrawny owocoznawca (pomolog), albo kwiaciarz, czy kierownik szkółek drzew? Oni wszyscy są fachowcami, ale w zakresie swojej specjalności, i nie zawsze jeden drugiego będzie mógł skutecznie zastąpić. Czy można powoływać do organizacji zadrzewiania miast ogrodników dworskich, albo miejscowych właścicieli zakładów? Wprawdzie ogrodnik dworski musi być encyklopedystą i znać się na wszystkim potrochu, ale właśnie dlatego wytwarza się do pewnego stopnia dyletantyzm, który dyskwalifikuje go do tak specjalnej pracy. Pozostaje więc jedna kategoria ogrodników, najlepiej przygotowanych do urządzania ogrodów strojnych i zadrzewień miejskich, a mianowicie „planiści“.

Ale wśród tych, którzy podejmują się urządzenia ogrodów, jest w Polsce wielu dyletantów, nieposiadających ani przygotowania, ani specjalnych zdolności, koniecznych do tworzenia dzieł, które muszą nosić piętno sztuki. Walka z dyletantyzmem na każdym polu jest trudna, lecz najtrudniejsza tam, gdzie społeczeństwo jeszcze nie zrozumiało potrzeby i doniosłości właściwego stopnia przygotowania pracownika, gdzie praca jego nie jest doceniana należycie, a władze nie stosują żadnych ograniczeń, co do prawa wykonywania zawodu.

Takie warunki panują w dziedzinie planowania ogrodów i zadrzewień. Każdy uważa się za powoła-

### FARBY DO MALOWANIA NA TKANINACH I SKÓRZE

Batiki, Liwor i obsypki, wzory oraz farby i WSZELKIE  
ARTYKUŁY ARTYSTYCZNO-MALARSKIE w wielkim  
wyborze i po cenach konkurencyjnych poleca

### JULJAN BUROF

Nowy Świat 47 Warszawa, Tel. 36-44.

Wysyłka towarów za zaliczeniem.

nego do wykreślenia linii dróg i obsadzania terenu roślinami, nie dbając o zasady, o teorię tworzenia ogrodów, często nie znając nawet materiału roślinnego. Jaskrawym przykładem — jak nie należy urządzać ogrodów — są otoczenia domków w powstających obecnie tak licznie osiedlach podmiejskich, rażące bezsensownym i brzydkim pokawałkowaniem przestrzeni, oraz wadliwym dobozem roślin, zarówno w zastosowaniu do przestrzeni, jak i do pożądaných efektów.

Naturalnie, trudno jest ziemianom, posiadaczom letnisk, czy siedzib w osiedlach, a nawet magistratom, odróżnić zgóry planistę wykwalifikowanego od partacza, czy dyletanta. Żadne przepisy nie zmuszają osób, mieniących się ogrodnikami, do składania egzaminów, lub wykazywania swej umiejętności dyplomami. Więc, jako jedyny ratunek, uznali planiści drogę zrzeszenia się w Koło Planistów, do którego mogą być przyjęci tylko, uznani na podstawie prac wykonanych, planiści wykwalifikowani. Koło planistów mieści się przy Towarzystwie Ogrodniczym Warszawskim (Bagatela 3, w Warszawie) i na żądanie służy interesowanym listą swoich członków.

Ale jeszcze wiele wody upłynie, zanim sprawa zakładania ogrodów tylko przez wykwalifikowanych fachowców zostanie uregulowana. Zresztą, każdy posiadacz terenu będzie mógł zawsze urządzać się na swoim terenie tak, jak mu się będzie podobało, byle nie wyrządzał tem szkody sąsiadom lub całości. Więc rozpowszechnianie znajomości roślin jest z tego względu konieczne.

Pozatem znajomość drzew jest konieczna, jako uzupełnienie wykształcenia ogólnego, gdyż pozwala lepiej pojmować otaczającą nas przyrodę i głębiej wnikać w jej piękno. Rośliny powinny być u nas otoczone większą, niż dotychczas, miłością i większym kultem, a wtedy prędzej „...zbirowiska ludzkie będą w Polsce przypominały swym schludnym wyglądem miasta i wsie polskie z czasów z przed niewoli“.

Lecz żeby coś ukochać, nietylko siłą wiary, lecz jak coś bliskiego, miłego, jak stałego towarzysza, bez którego się tęskni i którego się szuka — trzeba to coś znać dobrze, trzeba się z tem czemś zbratać serdecznie i zbliżyć.

Rośliny ukochali najwznioślejsi ludzie wszystkich narodów. Im poświęcają wybitni malarze swe dzieła, uwieczniając piękno krajobrazu. Poeci i prozaicy opiewają rośliny w swych nieśmiertelnych twórcach. Oni nawet wykrywają piękno przyrody, zwracają na nie uwagę społeczeństwa i tą drogą również stają się propagatorami miłości i uwielbienia dla roślin.

Od takich przykładów roi się świeża książka, napisana przez nowego na polu literatury ogrodniczej, lecz niezmiernie płodnego autora, Bronisława Gałczyńskiego \*).

Jak wszystkie wydawnictwa tego miłośnika roślin, tak i ostatnia jego książka odznacza się wielką barwnością stylu, lekkością ujęcia tematu, „nadzwyczajną erudy-

cją, świadczącą o wielkiem odczytaniu, a nadewszystko — niezmierną miłością dla roślin. Tym razem autor postawił sobie za zadanie, według słów, zawartych w przedmowie (str. 12), żeby „...nietylko nauczyć, jak sadzić i pielęgnować drzewa, nietylko, jak je poznawać i jakie wybrać dla siebie gatunki, — ale jeszcze, nadewszystko, obudzić sympatję do drzew, dopomóc do pochwycenia i zrozumienia odrębnej fizjognomji i charakteru każdego gatunku i wreszcie zachęcić do sadzenia drzew“.

Więc w książce swej opisuje 21 gatunków drzew, a wśród tych gatunków liczne odmiany. Tekst przeplatany licznymi cytatami wielkich pisarzy, a dla większej jasności tłumaczy świetnymi rysunkami drzew, ich liści, fragmentów ogrodów, wykonanych artystycznie z natury przez utalentowanego rysownika, Adama Knauffa. Niektóre drzewa opatrzył autor własnego pomysłu tytułami, więc: dąb — groźny monarcha; jesion — drzewo życia; głóg — ptaków obrońca i t. p. Dla powagi książki są to dodatki zbędne, tanie efekty — nie zmniejszają one jednak wartości wydawnictwa, które powinno się rozejść jaknajszerzej, aby wszędzie budziło gorąco upragnione przez autora zamiłowanie do przyrody i jej piękna, co nawet do surowej pozornie duszy chłopca polskiego przenika, jak o tem świadczy przytoczony przez autora urywek z arcydzieła Reymonta:

„...gdzie znów stały samotnie dzikie grusze, całe we kwiatach i pszczelnym brzękiem rozśpiewane i tak bardzo cudne i święte, jako te hostye, unoszące się nad polami, jaże chciało się klękać przed niemi, a całować ziemię, co je na świat wydała.“

A gdzie znowu brzoźka się pochylała, przyodziana w bielusienkie gźło i cała owionęta zielonemi, rozplecionemi warkoczami, a tak czysta i drżąca w sobie, kiej ta dziewczyna, do pierwszej komunji stająca“.

Stan. Schönfeld.

\*) Bronisław Gałczyński: *Drzewa liściate, leśne i alejowe*. Ilustrował Adam Knauff. Nakładem autora, Piaseczno pod Warszawą, 1928. Stron 192.

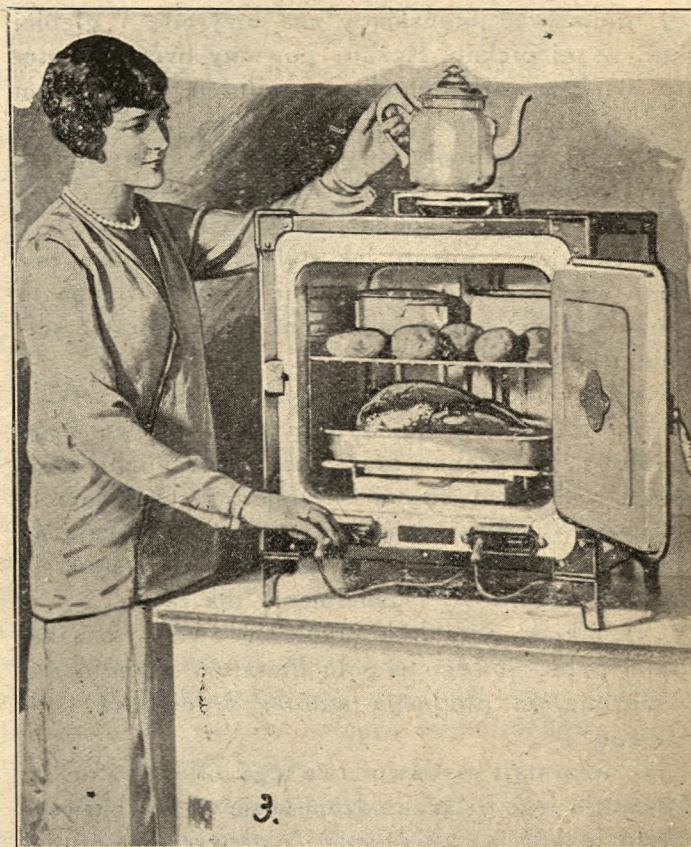


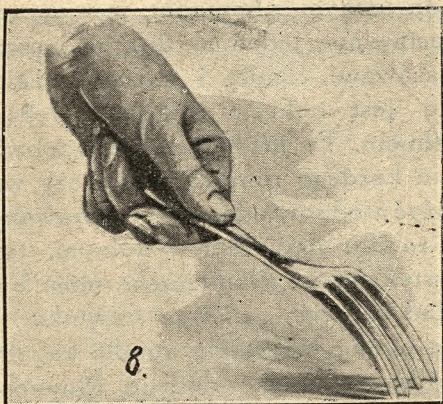
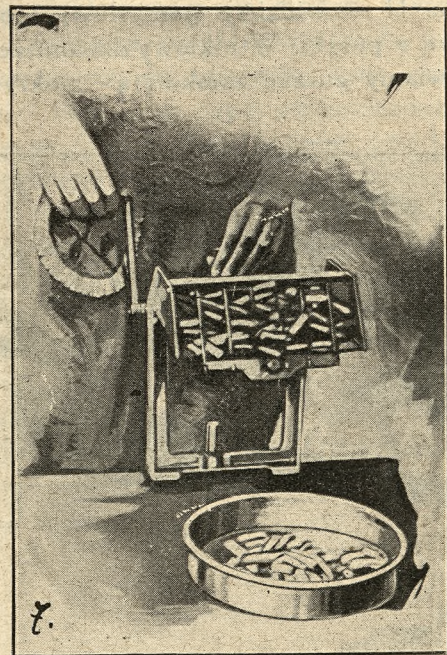
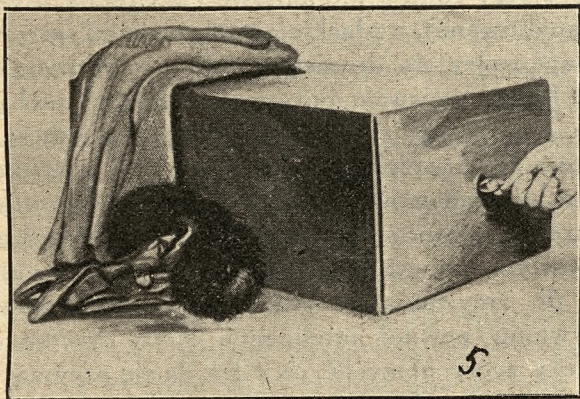
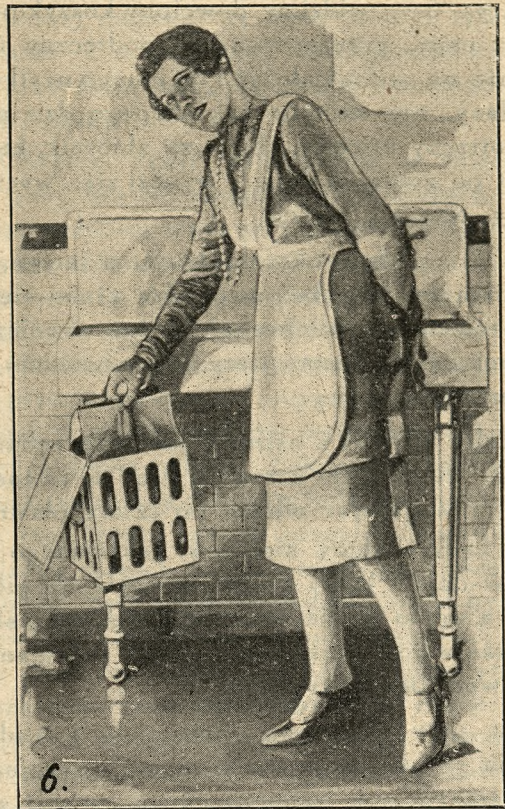
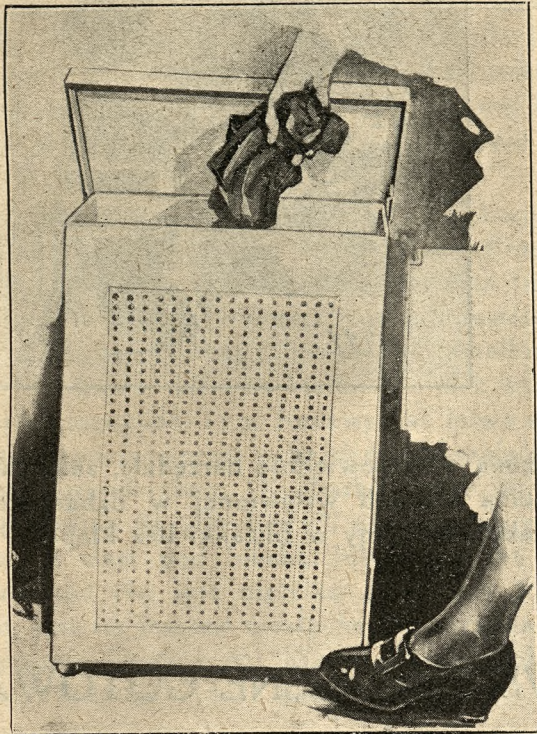
## CIEKAWY WYNALEZKI

Umysły ludzkie pracują z wyteżeniem w każdym kierunku, starając się ułatwić i udogodnić każdą pracę. Zrozumiano nareszcie, że angielską zasadę „czas — to pieniądz” — trzeba gorliwie wprowadzać na całym świecie. Dążymy szybkim krokiem do zastąpienia człowieka — elektrycznością. Przyniesie mu to niezaprzeczalnie korzyść fizyczną, oszczędzając jego siły. Na rys. 1 — widzimy dowcipnie pomyślany odkurzacz, który, spełniwszy swoje zadanie przy oczyszczaniu firanek z pyłu i pozbywszy się zbiornika na kurz, odczepionego małymi rączkami właścicielki, służy do osuszenia po umyciu jej bujnych pukli (rys. 2).

Rys. 3 — to elektryczna kuchenka, w kształcie oszklonej szafki, w której potrawy gotują się „same”. Kłopot jest tylko z ich przyrządzeniem, poczem, wstawione na odpowiednie kondygnacje kuchenki, nie potrzebują żadnego więcej starania. Doskonałość takiej kuchenki polega na tem, że nie wymaga kosztownej instalacji: połączona z każdym pokojowym kontaktem, funkcjonuje sprawnie.

Dziedzina gospodarstwa domowego nie jest również pominięta. Zajęła się nią mechanika. Na rys. 4 — widzimy rodzaj kosza, którego cienkie metalowe ścianki, zaopatrzone w drobniutkie dziurki, dają dobrą wentylację, nie dopuszczając zarazem żadnego nieprzyjaciela, w postaci myszy, naprz. do wewnątrz. Kosz ten, opatrzony u swojej podstawy pedałem, otwiera się za naciśnięciem go, bez nachylania.





Rys. 5 — to składana, zabezpieczona od moli, skrzynka z papy. Po wyjęciu z niej zawartości, można złożyć zupełnie i wstawić w jaki kącik ten nieambarasowny kuferek.

Na rys. 6 — widzimy dowcipny koszyk-pudełko, również z papy, przeznaczony na podręczny śmietniczek; może on jednak służyć i do innego użytku. Lekki, składany, nie zajmuje tak skąpego dziś miejsca; w razie potrzeby otwarty, służy za zbiornik, który natychmiast po zebraniu śmieci wynosi się, wyczyszcza i, złożony, opiera o ścianę.

Rys. 7. — Maszynka do krajania jarzyn, które, grubo pokrajane w rękę, wychodzą z niej cieniutko, idealnie równo poszatkowane. Można również za pomocą tej maszynki, nastawiwszy ją odpowiednio, krajać kluski i makaron.

Widelec (Nr. 8) z ostremi, jak noże, zębami, służy nie tylko do wyjęcia z rondla, ale i do równego podzielenia mięsa, krając odrazu po cztery plastry.

Nie będzie nigdy nierówno pokrajanego chleba na stole w domu, który zaopatrzy się w nóż-piłkę (rys. 9), ostry, a mimo to nie przecinający ścierki, służącej do wycierania go. Najświeższy chleb pokrajamy tym nożem równo, bez pokruszenia.

Ryba przy skrobaniu śliska jest i trudna do utrzymania — ułatwimy sobie robotę, przypinając ją do stołu szczypcami, zahaczonymi o gwóźdź z okrągłym łebkiem (rys. 10), wbity w brzeg stołu kuchennego, albo w deskę, przeznaczoną do tego użytku. Osoba, oprawiająca rybę, o wiele prędzej to robi, mając obie ręce do użytku.

Na rys. 11 — widzimy pomysłowy sposób nalewania mleka z puszek. W nikłowy dzbanuszek z wierzchem wstawiamy puszkę zamkniętą — pokrywką, zao-

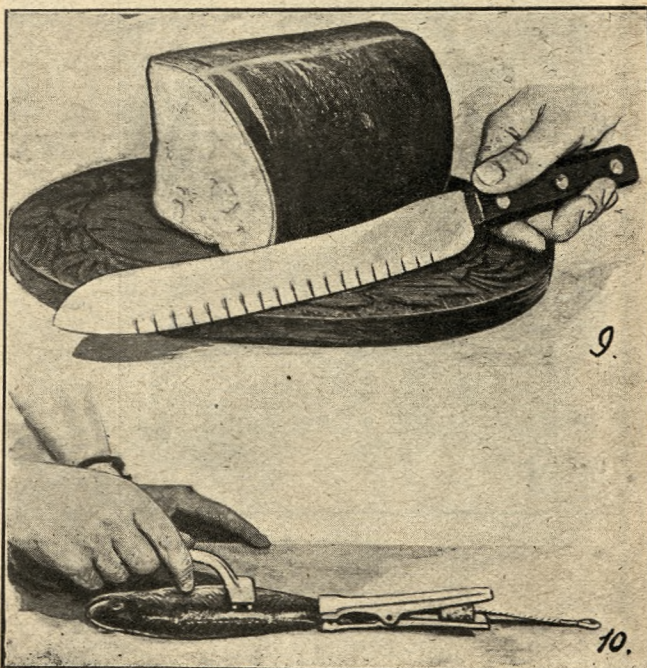


patrzoną w odpowiednie narzędzie, zamykając się — przecina wierzch wstawionej w dzbanuszek puszki, i mleko nalewamy w filiżanki bez kłopotu. / S.

## WSPÓŁCZESNE GOTOWANIE

Na tej samej podstawie, co dogotowywacz, są obmyślane rondle do gotowania wieżowego. Są to trzy lub cztery rondle aluminiowe (w Czechach widziałam i emaljowane), z płaskimi pokrywkami, szczelnie pasujące jeden do drugiego i jeden na drugim ustawione. Po zagotowaniu potraw w każdym z nich oddzielnie, ustawiamy je jeden na drugim. Kiedy w dolnym gotuje się naprzykład mięso na rosół i sztukę mięsa, to w górnym może dochodzić ryż lub kartofle; w jeszcze wyższym — jabłka, lub śliwki na kompot, a w czwartym, najwyższym, może się tymczasem grzać woda do zmywania naczyń. Aparat ten wymaga przy używaniu pewnej inteligencji osoby pracującej, gdyż należy zgóry obmyśleć, co i jak da się przyrzadzić, aby go wykorzystać, gotując na gazie, lub na maszynkach naftowych.

Jakby dalszem rozwinięciem myśli gotowania kilku dań na jednym płomieniu, jest aparat „Vici”. Są to trzy, ustawione jeden na drugim i szczelnie do siebie dopasowane, rondle i czwarty czajnik do wody. Wszystko jest pokryte piątym, większym rondlem, jakby hełmem. Tu już nawet nie trzeba zagotowywać oddzielnie każdego rondla: wystarczy wszystkie artykuły włożyć z odpowiednimi przyprawami do poszczególnych rondli, przyczem w dolnym, tym, co bezpośrednio styka się z płomieniem, musi być jakiś płyn, naprzykład zupa, i w górnym czajniku — woda. Postawione na ogniu, wszystkie rondle zagotowują się same po kilku minutach zaledwie. Płomień gazowy, czy naftowy można zmniejszyć do minimum i zająć się jakąś inną robotą; nie grozi naszym potrawom niebezpieczeństwo ani przypalenia, ani wykipienia. Kie-



dy posiłek gotów, możemy płomień zgasić, jeśli nie zdejmemy helmu, nie wystygnie on nam przez dobrych parę godzin. Jest to epokowy wynalazek dla gospodyń, mających różnorodne zajęcia, i dla służących, zajętych jednocześnie sprzątaniami i gotowaniem, gdyż można opuścić nie tylko kuchnię, lecz nawet i dom na godzin parę, będąc pewną, że nic nam się nie przypali, ani wykipi.

Niestety, aparat ten nie jest dotąd w kraju wyrabiany. Krajowym natomiast wyrobem jest „Prodige”, aparat do pieczenia na płomieniu gazowym (można go też używać do naftowego Prymusa), zastępujący piecyk. Można w „Prodige’u” wypiekać wszelkie ciasta, jak drożdżowe, tak i na białkach, i piec wszelkie mięso, ryby, leguminki i t.p. Nadzwyczaj łatwy w użyciu i niezastąpiony wprost w każdym racjonalnie prowadzonym gospodarstwie. Kucharki, które raz spróbowały pieczenia na „Prodige’u”, nie dają się zmusić do pieczenia ciast pod blachą, lub w piecyku gazowym. Przyrząd ten jest nie tylko przyjemny i łatwy w użyciu, jest on jeszcze niesłychanie oszczędnościowy: upieczenie ciasta z pół kilo mąki, przy obecnej cenie gazu, kosztuje 4 do 5 groszy tylko.

Z aparatów pomocniczych mogłabym polecić jeszcze młynek uniwersalny „Jupiter”.

Zastępuje on kilka przyrządów kuchennych jednocześnie. Maszynkę do mięsa, drugą — do krajania jarzyn w paski; młynek do kawy, drugi — do migdałów i korzeni, tarkę do chrzanu; przyrząd do wyrobu marmelady i wyciskania soku z owoców, co, szczególnie przy wyrobie win owocowych, ma duże znaczenie. Na koniec można zapomocą niego robić rozmaitego kształtu kluseczki i makaron domowy. W myśl zasady nie zagracania kuchni zbyt licznymi narzędziami — jeden taki praktyczny aparat będzie celowy.

Po ukończonym obiedzie, gdy się zabieramy do zmywania naczyń, zamiast wycierania ich ścierką, zopatrmy się w suszarkę wynalazku pań z „Koła Studentów Gospodarstwa Domowego”, a zaoszczędzimy dużo czasu i otrzymamy doskonały rezultat. Niech ścierka, zawsze, niestety, brudna, służy do innych celów, lecz nie dotyka naczyń, na których jadamy.

A teraz przejdziemy do właściwego gotowania.

### III. OSZCZĘDZANIE CZASU

Ugotowanie każdego posiłku składa się z kilku niezbędnych i współrzędnych czynności: 1) zakup produktów, 2) obmyślenie i ułożenie jadłospisu, 3) samo ugotowanie potraw, 4) podanie ich, 5) sprzątnięcie naczyń kuchennych i stołowych.

Dwie pierwsze czynności zawsze należą do pani domu; pierwszą, czyli zakupami, powinna kierować koniecznie, jeśli ich nawet sama nie wykonywa. Jadłospisy, uwzględniające wiek, stan zdrowia, apetyty i gu-

sta członków rodziny, a jednocześnie nie wychodzące poza ramy budżetu, — wymagają w ogólności większej inteligencji, niż ta, którą posiadają nasze gospodarze pomocnicze. Stosując się jednak do miejsca, jakie mam w niniejszej pogawędce, będę mówiła tylko o samym gotowaniu i o poważnej oszczędności czasu i sił, jakie przy niem osiągnąć można, stosując racjonalne sposoby pracy.

Obecnie, kiedy, szczególnie w mieście, gotuje sama pani, lub rozporządza jedną służącą tylko, kwestja oszczędności czasu przy gotowaniu odgrywa pierwszorzędną rolę. Oprócz czasu osoby pracującej, przedkie gotowanie daje poważne oszczędności opału, co szczególnie przy gazie, nafcie i spirytusie odczuć się daje. Oszczędność czasu przy gotowaniu można osiągnąć przez wcześniejsze przygotowanie wszystkich artykułów, w skład posiłków wchodzących, i przez odpowiedni dobór potraw. Zakupy wszystkie, o ile nie były uskutecznione dnia poprzedniego, powinny być zrobione rano, przed innymi pracami domowymi. Zanim się blachę rozpali, a tembardziej gaz otworzy, wszystko, co ma być użyte do potraw, musi być już przyzyszykowane. Mięso zбите, posiekane, lub zamarynowane; drób oprawiony, nadziany, posolony; jarzyny oczyszczone, pokrajane; wszelkie ciasta drożdżowe zamieszane i wyrosnięte, a nawet uformowane, jak np. pączeczki, bułeczki i t. p. Ciasta francuskie i kruche powinny stać na chłodzie godzin kilka przed użyciem, należy je zatem zrobić wcześniej. Wszelkie rośliny strączkowe: groch, fasolę suchą, należy namoczyć na 12 godzin przed użyciem; taksamo wszelkie owoce suszone: jabłka, gruszki i śliwki; również kasze, o ile mają być rozklejone, a nie sypkie; kaszom jednak 4 godziny moknięcia zupełnie wystarczy, a takie namoczenie zmniejszy do minimum czas gotowania tych artykułów. Kości, na zupełne przeznaczone, należy namoczyć w wodzie, na dwie godziny przed gotowaniem; potem gotować w tejże samej wodzie: — zmniejszy to o połowę czas, potrzebny do zupełnego wygotowania z nich smaku. Włoszczyznę, jarzyny suszone i grzybki suszone, jeśli namoczymy z wieczora, to nie tylko się ugotują prędzej, lecz będą smakowały, jak świeże. Mięso, zбите na parę godzin przed duszeniem, jest o wiele kruchsze; kotlety bite, antrykoty i sznyce, zбите przed samem smażeniem, kurczą się i kształt tracą. Dopiero, gdy wszystko jest zupełnie przygotowane, należy rozpalić ogień i od razu doń przystawić wszystkie rondle.

(d. c. n.)

Pani Elżbieta.



## NAPOJE CHŁODZĄCE

### KALTESZAL

Pokrajać w cieniučne grzaneczki, kształtem przypominające krajane kluseczki, czarny, żytni chleb, ususzyć je pod blachą, lekko rumieniąc. Do dużej wazy włożyć cytrynę, pokrajaną wraz ze skórą w cienkie plastry (ziarnka starannie usunąć), wsypać dobrą szklanekę cukru, utrzeć go mocno z cytryną, wlać szklanekę konjaku, araku, lub krajowego winiaku; mięszać mocno łyżką, aby się cukier rozpuścił, gdyż przez długie stanie napój może nabrać goryczy od cytryny. Wsypać dwie szklanki poziomek, truskawek, lub malin. Jeśli tych owoców już niema, może być para pokrajanych brzoskwiń, kawałek ananasa, aromatyczne gruszki i t. p.; w ostatecznym razie można się obejść i bez innych owoców, gdyż cytryna i kwas i aromat swój daje. Wlać trzy butelki piwa jasnego, niezbyt gorzkiego, wrzucić około kilo porąbanego lodu, wymieszać i natychmiast podawać na stół. Nalewając do szklaneczek, wsypać do każdej z nich łyżkę chlebowych grzaneczek. Najlepiej smakuje, gdy się go pije przez słomkę.

### COCKTAIL ŚMIETANKOWY

Na ten wyborny, o bardzo łagodnym smaku, trunku można użyć każdego likieru, o wyraźnym smaku i aromacie pestkowym. A zatem: wiśniowego, śliwkowego, morelowego, lub brzoskwiniowego. Jeżeli bierzemy likiery kupne, może to być Cherry-brandy, lub Peach-brandy, Abricotine'a, Crème de noyaux itp. Do pół szklaneczki utłuczonego drobno lodu wlewa się spory kieliszek któregośkolwiek z tych likierów, napełnia szklaneczkę zimną, gęstą, słodką śmietanką i podaje natychmiast. Zamieszać raz łyżeczką i pić wolno przez słomkę. Stać długo ten cocktail nie może, gdyż w zetknięciu z owocowym likierem śmietanka się zwarzyła.

### „Wina owocowe“

KSIĄŻECZKA TA UCZY WYROBU WIN SPOSOBEM  
DOMOWYM Z OWOCÓW I JAGÓD

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, War-  
szawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności  
przekazem, lub w znaczkach pocztowych.  
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## KRUSZON Z CYTRYNY

Na wsi, gdzie często o pomarańcze trudno, już nie mówiąc o zbyt kownych ananasach i brzoskwiniach, po sezonie truskawek i malin niema na czym przyrządzić kruszonu. Otóż można zrobić wyborny kruszon, używając do niego zwykłych cytryn, a likier zastępując domowym wiśniakiem. Nie można tylko zbyt długo trzymać cytryn w winie, gdyż cały napój nabrałby nieprzyjemnej goryczy. Na cztery litry białego, lekkiego wina (może być owocowe) bierzemy sześć cytryn, czterdzieści deka cukru i półlitrową butelkę domowego wiśniowego likieru, lub nalewki. Cukier zalać butelką wina i często mięszać łyżką, aby się rozpuścił zupełnie. Na kwadrans przed podaniem pokrajać cytryny wraz ze skórą w cienkie plastry, odrzucając starannie pestki. Przełożyć je wprost do wazy lub dzbanów, zalać ocukrzonym winem, dolać likier, resztę wina, wymieszać, włożyć drobno porąbane, czysto wypłókaną (w mieście—sztuczny) lód i zaraz podawać. Lodu brać na tę ilość dwa do trzech kilo, zależnie od tego, czy chcemy mieć mocniejszy, czy też słabszy kruszon.

### KRUSZON WIŚNIOWY

Kilo bardzo dojrzałych, kwaskowych wisien wydrylować. Trzydzieści pestek z nich roztluc ostrożnie, ziarnka z nich wybrać. Ziarnka te i wiśnie zalać w wazie lub dzbanku dwiema szklankami konjaku (może być krajowy winiak) lub wódki. Wsypać szklanekę lub dwie cukru, w zależności od tego, czy chcemy mieć napój mniej lub więcej słodki. Postawić w chłodnym miejscu, często mięszać, aby się cukier rozpuścił. Po sześciu godzinach — trzeba tyle czasu, aby ziarnka wydzieliły swój aromat—dodać dwa litry białego, lub czerwonego wina, około kilo drobno porąbanego lodu i podawać. Szczególniej smaczny jest ten kruszon na lekkim, czerwonym winie. Można nań użyć, jak na wszystkie inne tego rodzaju napoje, wina krajowego, owocowego.

Pani Elżbieta

### LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów **Dr. J. ŚWITALSKIEJ**

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretki na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretki na rozszerzenie porów i łojotok. Perekłki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-  
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.